I

Iszczą się przepowiednie. – Inwazja rosyjska. – Dzików. Placówką humanitarną. – Spostrzeżenia. –

Więc to już wojna! Wojna między ciemięzcami polskiego narodu; wojna, którą przepowiadali nasi wieszczowie; wojna, o którą w Litanji pielgrzymiej modlił się Mickiewicz: „O wojnę powszechną za wolność ludów – prosimy Cię, Panie!"

Iszczą się przepowiednie wieszczów naszych; po stuletniej nocy niewoli świta dzień zmartwychwstania udręczonej Ojczyzny ~~naszej~~.

Rozlegał się wprawdzie płacz i lament matek, żon i dzieci, którym brutalna ręka zaborcy wydarła i na niepewny, krwawy los pognała synów, mężów i ojców, ale w podobnych dziejowych zdarzeniach ~~wypadkach~~ jest to rzeczą całkiem naturalną, nieuniknioną.

Między narodem wielu było naiwnych, co to wierzyli rozpuszczanym świadomie przez rządowych pupilów pogłoskom, że wojna trwać będzie tylko trzy miesiące; drudzy przeczuwali, że zawierucha ta potrwa lat parę i z lękiem patrzyli w niepewną przyszłość, a jeszcze inni – najlepsza cząstka narodu – pragnęli jak najdłuższego trwania wojny, w zupełnem bowiem osłabieniu walczących z sobą zaborców upatrywaliśmy jedyną nadzieję odzyskania wolności, za którą kilka pokoleń walcząc, w krwawem polu padało, w turmach gniło, na szubienicach konało, w tajgach sybirskich marło.

I byliśmy świadomi cierpień, jakie w zgliszczach chat naszych, w głodzie, w chorobach, w pokłosiu śmierci i we wszelakich udrękach nieuchronnie nawiedzić nas miały; wszystko to atoli znieść byliśmy gotowi, byle cierpieniami temi naród wolność swą okupił, ~~a otuchę i siłę wytrwania czerpaliśmy z gorących słów Krasińskiego~~ z przepowiedni wieszczów:

„Cokolwiek będzie, cokolwiek się stanie…

Jedno wiem tylko: sprawiedliwość będzie,
Jedno wiem tylko: Polska zmartwychwstanie,
Jedno wiem tylko: na dziejów przestrzeni
Grób nasz nam w życia gmach się przepromieni".

w Siedlce — Tak wierzył Krasiński.

Bitym traktem z południa na północ ciągnęły przez Tarnobrzeg nieprzeliczone szeregi austrjackich wojsk z działami, strzelivem, kuchniami polowemi i przeróżnemi furgonami. Ciągnęły dniem i nocą i zdawało się, że pochodom tym końca nie ma. Armja ta po pontonowych mostach przeszła na drugi brzeg Wisły w granice b. Kongresówki, wojska zaś rosyjskie cofały się w głąb.

Powoli ludzie z obydwu stron Wisły, z początku nie śmiało, potem już coraz śmielej poczęli przekraczać granicę zaborów. Pewnej niedzieli wybrałem się i ja z gromadką znajomych na tamtę stronę, do Koprzywnicy. Jakiego uczucia doznałem, jaka radość i duma pierś moją rozpierała, skoro, oparłszy stopę na drugim brzegu Wisły, uprzytomniłem sobie, że odtąd wolno już będzie chodzić bez paszportu do braci „Królewiaków" — trudno wysłowić. Niestety, ludzie tamtejsi, którym radbym był rzucić się w objęcia, spoglądali na nas z wyraźną nieufnością, prawie z niechęcią. Nic dziwnego; wiekowa niewola zrobiła swoje.

Wreszcie dobry Bóg dozwolił mi dożyć chwili oglądania pierwszy raz w życiu owych wymarzonych, prawdziwych polskich żołnierzy — legjonistów, z formacji brygadjera Józefa Piłsudskiego. Daleki od roztrząsania (rozstrzygania) koncepcji politycznych różnych grup (naszych) ~~naszych społecznych działaczy~~ (politycznych), błogosławiłem tę radość oczu moich.

Po kilku dniach pozornej ciszy dochodzić poczęły z za Wisły bitewne odgłosy. — Wtedy ~~z pod pióra mego~~ to w dniu 16/8 1914 ~~wyszedł wiersz~~ nadrukowałem ten wiersz:

Na naszej ziemi ozwały się grzmoty
Setnych wystrzałów i żelaza szczęk,
Sen Polski ziścić poczyna się złoty,
Serce ciemięzcy trwogi przejął lęk.
Piorunem ziemię obiega wieść: Wojna!
I Europa drgnęła niespokojna.

Wkładka str. 2. 2

Ale nietylko wielcy poeci głosili to zmartwychwstanie. Przeczuwali i wieścili je także ~~obdarzeni tą iskrą Bożą~~ prostaczkowie, robotnicy z fabryk, hut i kopalń oraz chłopi od pługa. Tylko że oni nie posiada~~li~~ nauk, że zmuszeni byli wieść każdy dzień życia w znojnym trudzie, to też – jak to zwykle u nas bywa – poszli w zapomnienie.

jak
nie umieli myśli swych ubrać w wyszukaną formę

We wsi Grębów tarnobrzeskiego powiatu żył sobie najzwyklejszy w świecie chłopina, na paru morgach piasków gospodarz, Wincenty Motas, który w ładnych, niewyszukanych piosenkach głosił cześć Ojczyzny. Mam pod ręką jeden z wierszy Motasowych, pisany równo 20 lat przed wybuchem wielkiej wojny, w roku 1894, i nie mogę się powstrzymać, by nie przytoczyć ~~w całości~~ (w skróceniu) tego serdecznego utworu nieuczonego chłopa, który tak pięknie czuć i myśleć po polsku umiał. Utwór ten to jeden z wielu cennych dokumentów, jak głęboko chłop polski wierzył, „że Ojczyzna jego naraz się powróci".

Polska nie zginie!

Stara szara Wisła przez kraj polski płynie,
W nurtach się odzywa, że Polska nie zginie,
Chociaż tak upadła, Bóg o niej pamięta,
Że Polska nie zginie, jest to prawda święta.
Czyżby miał zagubić Ten Stworzyciel świata
Biedny naród polski już na wieczne lata?
Chociaż go zasmucił, to i pożałuje,
Bo nad Polakami Pan Bóg się zmiłuje,
A nieprzyjaciołom znów wymierzy karę,
Bo oni chcą zniszczyć ojców naszych wiarę,
Chcieliby zagubić Polaka biednego,
Lecz Bóg patrzy z nieba, nie dozwoli tego,
Aby już ten Polak miał być zagubiony,
Żeby nie miał oglądać nigdy swej korony.
Bóg trzyma świat cały, żywioł w nim wszelaki;
A miałby opuścić biedne te Polaki?
On o nich pamięta, chociaż zagniewany,
Przyjdzie czas, co zrzuci niewoli kajdany;

— Nie da im zginąć na tej polskiej ziemi,
— Ojczyznę im wróci, będą szczęśliwymi.
To przepowiadają wszystkie nasze drzewa,
Że Polska nie zginie — ptaszek nawet śpiewa,
Gdy w wiosennej porze w powietrze się wzbije,
Wtenczas sobie śpiewa: niechaj Polska żyje!
Ogłaszają góry, mówią i doliny,
Że Polak doczeka wesołej godziny.
— Ta wiadomość zawsze u Polaków słynie,
— Pewna jest nadzieja, że Polska nie zginie.
I Polak też sobie taką piosnkę nuci,
Że ojczyzna jego nazad się powróci.
Najmilsza mu śpiewać tylko to jedynie:
Polska nie zginęła i nigdy nie zginie!

„Wojna!” Ach, ileż w tem słowie się mieści
Krwi i pożaru, cierpienia i łez, —
Lecz ducha Polski nie trwożą te wieści,
Niewoli naszej niesie wojna kres!
Ze krwi męczeńskiej wytoczone morze
Sądy nad zbrodnią zbierają się boże.

Długo ważyła się Pańska cierpliwość,
Długo krzywd Polski nie doceniał świat,
Dziś oto w grzmotach idzie Sprawiedliwość
Z księgą wyroków za zbrodnie stu lat.
Władza zbójców, na gwałcie oparta,
Za krzywdy nasze runie, na proch starta.

Wyleć nasz orle, wyleć Orle biały!
Skrzydeł łopotem mnogie hufce budź,
Do wielkich czynów na okopy chwały
Prowadź lud polski, prowadź dzielną młódź!
Niech całym światem lęk wstrząsa i trwoga,
My po zwycięstwo idziemy w imię Boga!

Z terenu bitwy początkowo głucho, skądś daleko, potem stopniowo coraz bliżej i coraz głośniej odgłosy grzmotów armatnich płynęły na sandomierską nizinę, gdzie rozłożył się powiat tarnobrzeski. ~~W miarę potężniejącego huku dział, w dali poczęły się ukazywać dymy wreszcie płomienie gorejących osad. Wonią spalenizny, lekkim powiewem wiatru niesioną, nasyciło się powietrze.~~

Niepokój głuchy ogarniać począł ludność cywilną wsi i miasteczka; obaw tych wszakże, zdawało się, nie podzielały władze rządowe i żandarmerja, starające się wpływać uspokajająco na zdenerwowaną niepewnością położenia ludność. Ale skoro było już publiczną tajemnicą, że armja austrjacka, poprzedzana łańcuchem ~~forpocztów~~ podjazdów, wycofuje się z placu bitwy, naraz ulotnili się urzędnicy starostwa, sądu powiatowego, urzędu podatkowego, żandarmerja, straż skarbowa, wreszcie urzędnicy Wydziału powiatowego i większość inteligencji wolnych zawodów.

Ucieczka ta dokonała się nadzwyczaj szybko i cicho.

Cała machina biurokratyczna stanęła; archiwa i akta urzędowe pozostawione ~~zostały~~ własnemu losowi. Tylko przezorniejsi uciekinierzy wcześniej poukrywali swe wartościowe ruchomości, powierzając je opiece pozosta- ~~łej~~ wionej w domu służby.

Śladem urzędników poszli także okoliczni obywatele ziemscy z wyjątkiem właściciela rozległego klucza dzikowskiego, hr. Zdzisława Tarnowskiego, który jedynie dzieci swe do Wiednia wyprawił, sam ~~sam zaś~~ z żoną i prawie wszystkimi swymi oficjalistami na miejscu pozostał.

Jakkolwiek siłą rzeczy przerwać się musiał tok mojej codziennej czynności w wydziale powiatowym, w którym jedynie stróż Antoni Rutyna na straży powierzonego sobie mienia pozostał, przecież codziennie zachodziłem do biura, by załatwiać przygodnych interesantów.

Rankiem 15 września zauważyliśmy zbliżającą się nieśmiało polami od strony lasu, Zwierzyńcem zwanego, rosyjską patrol, a niedługo ~~miałem~~ miałem już na podwórzu swego osiedla uzbrojonych w długie piki kozaków, dopytujących się o „awstryjców”, pomstujących na wysokie pod ich rządami podatki i zachwalających rosyjskie rządy.

Nad wieczorem zalało już Tarnobrzeg wojsko rosyjskie, a pierwszą czynnością soldatów było rozbijanie sklepów i masowe wyrzucanie z nich towarów na ulicę.

Z chwilą najazdu rosjan położenie ludności w okolicy stało się ciężkie. Luźne watahy pijanego żołdactwa rozlały się po wsiach, dopuszczając się gwałtów na wystraszonych mieszkańcach. Nowe szeregi wojsk od strony Sandomierza ciągle napływały, a zawadzając o stojące tuż przy trakcie na Wymysłowie gorzelnie, zakrapiały się wódką, by, rozkwaterowawszy się po chałupach, dopuszczać się niepoczytalnych wybryków.

W dniu 23 września zaleciał nas od strony maszerujących tłokiem wojsk ostry opar okowity, mimo że szosa, którą wojsko to maszerowało, oddaloną była kilkaset kroków od mego osiedla. Zachodziliśmy w głowę, coby to miało znaczyć, – czyżby się wojsko skąpało w wódce?... Nieco później dopiero przyczyna się wyjaśniła. Oto starszy z dowodzących oficerów nie mogąc powstrzymać żołnierzy, rwących się do gorzelni, by w nich

bodaj parroma łykami horiłki odwilżyć spie=
czone gardła, rozkazał był kadzie i beczki z go=
rzelni wytoczyć i wódkę z nich do przydrożnego rowu
wylać. Płynęła więc wódka rzeką w ścisłem tego
słowa znaczeniu, nasycając daleko powietrze dła=
wiącym zapachem. Odtąd rzadziej już spotykało
się pijanego sołdata i wybryki zmalały.

Wnet po wkroczeniu wojsk rosyjskich u części
okolicznej ludności zbudziła się uśpiona dzikość
instynktów, o czem z uczuciem niesmaku li tylko
z obowiązku pamiętnikarskiego wspominam. Oto do
zalanego rozhukanem żołdactwem, splądrowanego Tarnobrzega, lud=
ność obojga płci i różnego wieku, z okolicznych
wsi ciągnęła całemi procesjami, a obładowawszy się
do niemożliwości wszelakiemi, na ulicę przez sołda=
tów porzucanemi towarami, utykając i uginając
się pod ciężarem tobołów, włokła się z tym łupem do domów.
Prawda, że na wsi bieda była wielka, a w dodatku
brakło wówczas w domach powołanych na wojnę żywicieli, pro=
~~dukty zaś rolne częściowo na potrzeby wojska zostały~~
~~zarekwirowane~~, - ale wszystko to w niczem nie upraw=
niało do przywłaszczania sobie nie swoich rzeczy, choćby
i gnić na ulicy miały.

Choć wychodzenie z domu podczas tej zawieruchy
bezpiecznem nie było, wałęsające się luzem grupami
po osiedlach żołdactwo niepokoiło mieszkańców, - przecież
nie mogąc oprzeć się chęci oglądania na własne
oczy gospodarki sołdatów, poszedłem pewnego dnia na miasto.
Przepuszczony zostałem bez przeszkód. Miasteczko jakby
wymarło. Ani jednego żyda na ulicy, ani nikogo
z miejscowej inteligencji. Przed porozbijanemi i splą=
drowanemi sklepami walały się stosy najprzeróżniejszych
towarów, przeważnie łokciowych. Sołdaty, którym za
przewodników służyły osobniki z podmiejskich szumowin,
snuły się wśród ulic za poszukiwaniem nowych „zdobyczy".
Sprawdziwszy na miejscu sytuację zawróciłem nazad
do domu. Ale jak łatwy był wstęp do miasta, tak
trudne z niego wyjście. Wychodzących z miasta rewi=
dowali sołdaci, zabierając im pieniądze i wartościowsze

drobiazgi. Za ciekawość swą przypłaciłem utratą zegarka i nieznacznem poturbowaniem.

Na trakcie jakoteż na bocznych drogach trwał nieustanny ruch wojsk i furgonów, raz w tę, raz w tamtę stronę się posuwających, co przy towarzyszącym ruchowi temu głośnym huku dział wskazywało, że w niezbyt odległej okolicy ważą się losy bitwy, a ze zdenerwowania sołdatów łatwo wyczuć się dało, że pozycja ich tutaj nie bardzo pewna. Przypuszczenie to nabrało znamion pewności, skoro w dniu 2 października hr. Zdzisława Tarnowskiego wywieźli moskale do Lublina.

Chociaż rozpolitykowana miejscowa ludność pocichu niezbyt przychylnie do domu hr. Tarnowskich była się odnosiła, przecież na wieść o wywiezieniu hrabiego smutek i żal wszystkich ogarnął, ~~a smutkowi temu miejscami towarzyszyły ciche łzy~~. W tej bowiem wojennej zawierusze, opuszczeniu, ~~x~~ niepewności jutra i ogólnej niedoli dwór hr. Tarnowskich w Dzikowie był ośrodkiem, gdzie najbardziej potrzebujący pomocy doraźnej ~~i opieki~~ niejednokrotnie doznawali.

Nareszcie szala walki przechyliła się na korzyść austrjaków, którzy też nad ranem 6 października wkroczyli do Tarnobrzegu, a za wojskami temi wtłoczyła się powrotna fala miejscowych uciekinierów.

Było też między tymi powrotnymi, co to sami nad sobą dobrowolnie ewakuacji dokonali, dużo narzekań, lamentów, złorzeczeń i przeklinań, skoro mieszkania swe zastali w stanie zupełnego splądrowania. Ale kogo właściwie odpowiedzialnym za szkody te czynić mieli? Chyba że Pana Boga, którego opatrzności mienie powierzyli, a sami, przez nikogo nie zmuszani, na pierwszy odgłos armatniego pukania, zamknąwszy oczy, gnali oślep przed siebie, dokąd chyżość nóg ich poniesie.

Wśród tej powrotnej fali przeważali urzędnicy, którzy po przykrem doświadczeniu z wielką już rezerwą przyjmowali zapewnienia wojskowych dowódców o niepokonalnej sile austrjackiej armji.

Urzędy zatem na nowo rozpoczęły swą czynność, ale — z wyjątkiem starostwa, w którem ~~formalnie~~ prawidłowo praca szła —

ot tak ~~tylko~~ dla ~~oka~~ zwykłej formalności, dla oka tylko, część bowiem aktów i ksiąg urzędowych uległa wczasie inwazji zniszczeniu, a pozatem wobec groźby ponownego najazdu moskali o prawidłowem urzędowaniu mało kto myślał. Poczęto więc przezornie pozostałe akta i księgi do przygotowanych skrzyń załadowywać, by je do Wiednia lub w inne bezpieczne miejsce wywieźć. Bo pierwsza nieprzezorność – a dodajmy i wielkooczna strachajłość – tarnobrzeskiej urzędniczej inteligencji miała pod niejednym względem ~~przyniosła dla ogółu~~ fatalne ~~skutki:~~ następstwa, co postaram się poprzeć paroma przykładami.

Na kilka miesięcy przed wybuchem wojny ~~obchodził~~ „Sokół" tarnobrzeski obchodził był z wielką pompą i fanfaronadą uroczystość poświęcenia własnego sztandaru, połączoną z wbijaniem w drzewce pamiątkowych gwoździ. Jeszcze na parę dni przed wkroczeniem do Tarnobrzega rosjan członkowie zarządu „Sokoła" zdawszy całe mienie Towarzystwa – a więc i wspomniany sztandar – opiece żony swego kursora, powołanego na wojnę, ~~który na wojnę powołany został~~, wystraszeni odgłosem odległego armatniego huku za Wisłą, przejęci trwogą wkroczenia moskali – którym do niedawna stale się odgrażali nieubłaganą walką, skoroby tylko do wojny z nimi przyszło – zwiali z miasta. I przyszli później moskale, a zająwszy opuszczony gmach „Sokoła", sztandar ów „zarekwirowali" i do stolicy państwa carów jako trofeum wojenne między innemi zdobyczami zapewne wywieźli.

Przykład drugi. W gmachu wydziału tarnobrzeskiej rady powiatowej mieściło się powiatowe muzeum imienia zasłużonego długoletniego prezesa tejże rady, Zbigniewa Horodyńskiego, powstałe dzięki inicjatywie i poparciu b. starosty tarnobrzeskiego, Eugenjusza Swobody. Muzeum to zawierało wiele cennych przedmiotów, jak kilkanaście oryginalnych o ciekawej treści kwitów, pisanych przez dowódców powstania narodowego z roku ~~180~~ 1809 autograf J. I. Kraszewskiego, stare pisane kroniki; duży, prymitywnej roboty a wielce oryginalny ~~szczero~~złoty kolczyk, niewiadomo z której epoki pochodzący; urny, łzawnice i inne ciekawe wykopaliska; bogatą

kollekcję starych monet i t.d. i t.d.

Gdyby mię byli ~~uchodzący~~ kierownicy biura ostrzegli, że moskale prą naprzód, a powiedzieli, że sami uchodzić będą, przedmioty owe byłbym ukrył. Ale, niestety, panowie ci uciekli cicho, zabezpieczając przed zagładą jedynie swoją prywatną własność. To też skoro po niespodziewanem wkroczeniu do miasta rosyjskich wojsk, nie zważając na mogące mi grozić ze strony sołdatów nieprzyjemności, wpadłem do biur wydziału powiatowego, w całem murzeniu zastałem przeraźliwą pustkę, a tylko kilka, na drobne okruchy startych butami czerepów z urn na podłodze się walało.

Triumf austrjackiej broni był krótkotrwały, bo już w miesiąc później 6 listopada moskale znów opanowali Tarnobrzeg. Musieli też austrjacy rączo zmykać, skoro zamagazynowane przez nich w gmachu sądu powiatowego wielkie ilości zsypanego do worów i do wywozu przygotowanego zboża, w szczególności pszenicy, nietknięte na łup moskali zostawili.

Pierwszą czynnością moskali, skoro powtórnie do miasta wkroczyli ~~do miasta~~, było podpalenie mieszczącego się w ratuszu urzędu podatkowego. Cały ratusz, w którym prócz tegoż urzędu mieściło się kilkanaście sklepów oraz magazyn propinacyjny, spłonął doszczętnie; zostały tylko mury. Ogromne stosy aktów i ksiąg dymiły przez kilka dni, a gasić ognia moskale nie pozwolili.

Dziesiątego listopada hr. Tarnowski wrócił (wolny) do Dzikowa.

Nie będę się kusił na rozbiorowanie przebiegu działań wojennych, jakie miały miejsce na terenie powiatu i klęsk, jakie na ludność spadły. Wytknąwszy sobie bowiem za główny cel skreślenie li tylko osobistych przeżyć, nie chciałbym od przedmiotu zbytnio odbiegać. Zresztą ważyć się na opis dziejów wojny, chociażby tylko na terytorjum miasteczka i kilku przyległych wiosek - byłoby dla takiego jak ja ułomka rzeczą zbyt śmiałą. ~~Znajdą się drudzy, którzy krwawe te dzieje dokładnie opiszą.~~ Niech się w nas przeto, moi czytelnicy,

daremną ciekawość na sensację nie budzi.

Nie mogę przecież pominąć milczeniem akcji dzikowskiego zamku, w którym dotknięta wypadkami wojennemi ludność okoliczna pomoc w potrzebie znajdywała. Opiszę ją pokrótce z tej strony na którą sam patrzyłem.

Po pierwszej inwazji hr. Zdzisławowa Tarnowska przekonawszy się, że wrazie dłuższego trwania wojny może braknąć dla zamku najniezbędniejszych artykułów życia, jęła czynić zakupy na dłuższą metę na zamku potrzeby. Rząd austrjacki dostarczył na ręce hrabiny większą kwotę pieniężną na rzecz potrzebującej ludności, za które to pieniądze nabyte zostały w większej ilości zapasy soli, nafty, zapałek, mydła. Dla potrzeb zaś urządzonego w zamku szpitala Czerwonego Krzyża dostarczył magazyn wojskowy*) na stacji w Tarnobrzegu pewną ilość mąki, kaszy, tłuszczów i t. p. Hrabina zaczęła więc odsprzedawać z końcem października ludności zapasy po cenie własnych kosztów. Ludność z za Wisły, gdzie już szerzyła się choroba puchliny z powodu braku soli, gromadnie ciągnęła do zamku po zakupy.

Hr. Zdzisławowa i (bawiące przejazdem w Dzikowie) hr. Adamowa Tarnowska oraz zamkowy bibljotekarz prof. Michał Marczak mieli ~~więc~~ dość roboty przy obsługiwaniu całych procesji interesantów. Kiedy powtór wtóry nadeszli moskale, zamek odcięty został od źródeł uzupełniania zapasów, ale sprzedawano dalej, co jeszcze starczyło. Sprzedażą tą zajęty był teraz już sam prof. Marczak, bowiem hr. Adamowa oddała się na usługi chorych w zakaźnym szpitalu, mieszczącym się w budynku tarnobrzeskiej szkoły ludowej. W szpitalu tym niegodziwcy austrjacy zostawili około 80 żołnierzy, dotkniętych chorobą cholery, duru i dysenterji i nic o tem nikomu nie mówiąc, umknęli. Dowiedziano się o nich przypadkiem dopiero po tygodniu, gdy już mnóstwo tych nieszczęśników umarło, tak, że żywi przez parę dni z trupami leżeli. Mieszczącym się w zamku szpitalem Czerwonego Krzyża zajęła się hr. Zdzisławowa.

Dla ludności, zwłaszcza dla żyjących z pensji rodzin urzędniczych, nastały ciężkie czasy. Różnicz dla żydów

---

*) Magazynem tym zawiadywał komendant Bóbr, oficjalista hr. Tarnowskich w Dzikowie, z chwilą wybuchu wojny ~~do sł~~ w rezerwy powołany.

były to chwile nie wesołe, bo handel ustał.

Na szczęście o działalności dzikowskiego zamku dowiedział się warszawski Komitet Obywatelski, instytucja polska wojenna, mająca za zadanie nieść pomoc unieszczęśliwionej wojną ludności, i utworzył w tymże zamku swoją placówkę na kilka najbliższych powiatów. Nadesłano więc do zamku pieniądze, a następnie jęto dostarczać z Lublina wagonowo mąkę, krupy i t. p. do rozdziału między ludność. Potem i lwowski Komitet nadesłał na ręce dzikowskiego zamku parę tysięcy rubli.

Można więc było ~~świadczyć~~ hojnie świadczyć ludziom z całego powiatu tarnobrzeskiego, kolbuszowskiego, a nawet niżańskiego.

Ponadto hr. ~~Zdzisław~~ otworzył w szym zamku jadłodajnię dla ludności żydowskiej, ziemniaki i opał dając od siebie, inne zaś artykuły z nadsyłanych transportów.

W grudniu otwarto nawet w budynku zarządu dóbr dzikowskich szkołę dla dzieci z Dzikowa i Tarnobrzega, by je godziwie zatrudnić i uchronić przed demoralizacją.

Szkoła ta istniała do połowy maja następnego 1915 roku. Prowadził ją po trzy godziny dziennie bibljotekarz ~~prof.~~ Marczak, ucząc wedle programu 4 klas ludowych, czytania, pisania, rachunków, śpiewu. Deklamowano, opowiadano, uczono się historji Polski; czytano wspólnie sienkiewiczowską trylogję. Przez dwa pierwsze miesiące pomagała ~~prof.~~ Marczakowi nauczycielka Janina Łeppowa. Nauki religji udzielał O. Franciszek Rączkowski, przeor Dominikanów. Frekwencja dziatwy, między którą był i mój syn Staś, wynosiła coś 150 głów.

Poświęcając powyższy ustęp działalności humanitarnej dzikowskiego zamku, pragnę tem oddać hołd pracy i obowiązkom obywatelskim działających osób, w szczególności zaś podjętej z zaparciem i poświęceniem się dla pospolitego dobra pracy bibljotekarza dzikowskiego i zasłużonego dla tarnobrzeskiego powiatu pisarza-społecznika ~~prof.~~ Michała Marczaka, który nie spoczął, nie dojadł, nie dospał, ustawicznie będąc na nogach, już to załatwiając tysiące interesantów, już to ucząc w prowizorycznej szkółce, ~~już to wreszcie biegając od oficera do oficera z prośbami o względy dla uciskanej ludności~~, na co patrząc dziwiłem się, skąd w jednym człowieku tyle naraz siły i energji się bierze!

~~A za pracę tę całą jego nagrodą było prócz nadwerężenia zdrowia znieważenie go przez zwyrodniałe miejscowe indywidua. Zwykła to nagroda, jaka bywa udziałem~~ ludzi poczciwych.

Z chwilą rozpętania się wojny okazało się dopiero, jak bardzo zdezorganizowane było nasze społeczeństwo pod względem zapatrywań politycznych co do ukształtowania się przyszłych losów Polski. Poza częścią zdrowo myślących, dążących do odbudowy niezależnej ojczyzny ludzi, jedni, nie wierząc w powstanie samodzielnego państwa polskiego, zbawienie Polski widzieli pod skrzydłem Austrji, drudzy pod Niemcami, inni zaś w zespoleniu z Rosją... Przykre pomięszanie pojęć!

Co tu wierzyć cudzoziemcom
Rakuszakom, Rusom, Niemcom –
Dość nam o nich mówią dzieje,
Co za dobrodzieje...

Dotąd naszej chcieli zguby,
Dziś, gdy wzięli się za czuby,
Wraz im w mózgach zaświtało,
Że nas jest nie mało...

I ot patrzcie, jak ochoczy
Rakuszak słodkiemi oczy
Od pierwszej nas wabi chwili,
Łasi się a mili!

Czego nie mógł przez lat dwieście,
Dziś przypomniał sobie wreszcie,
Że król polski z wojskiem przedniem
Zbawił go pod Wiedniem...

I stąd naszej już się bierze
W trwałe z nami wejść przymierze,
Przysięga się, że nas kocha –
Byle kropić Moskha...

Prusak niby to folguje,
Wolną Polskę obiecuje,
Byle skupić nasze dłonie
Po germańskiej stronie.

Moskal też się wyzbył buty,
Gdzieś zapodział stryczki, knuty,
A niemieckie wywłoki zdzierstwo
I – sobie zasiali braterstwo...

„Macie – gada – w dziejach chwały
Miecz grunwaldzki nierdzewiały –
Rąbać Niemców bądźcie zdolni,
A będziecie wolni”...

A kacapy! A pludraki!
Ten jest taki i ten taki!
Kto zawierza ich przyjaźni –
Kadułcznie się błaźni.

Gorej oni od szakali
Ojczyznę nam rozszarpali;
Potu, krwi, łez naszych strugi
Wiek już toczą drugi.

I tak bardzo nas miłują,
Tak wyciskać usiłują,
Byśmy przepadli bez śladów,
Lub zeszli na dziadów.

Z Małopolski ziemna nędza
Precz do obcych nas wypędza,
A przybysz tu ściąga wrogi
I skarb czerpie mnogi.

W Wielkopolsce nie folgują,
Ziemię gwałtem nam rabują,
Za ojczystą mowę naszą
Więzią, śmiercią straszą.

W Kongresówce – żal się Boże!
Polak sobą być nie może;
Jeszcze dawne krwawią blizny,
Już grabież Chełmszczyzny...

~~I że przeciw bratu brata~~
~~Zbroją, nie wstyd im u świata,~~
~~Chcą nas jeszcze mieć posłusznych,~~
~~Jak tych~~
Aż przed krwawą dopier łaźnią
Raptem z nami się przyjaźnią –
Aż im ciarki łażą skórą;
Kto z nich będzie górą?...

A że przeciw bratu brata
Zbroją, nie wstyd im u świata,
Chcą nas jeszcze mieć posłusznych,
Jak tych psów bezdusznych...

I na nasze ziemie walą,
Gwałcą, rąbią, kradną, palą,
Dokuczają ~~Fortunują~~ nam bez miary,
Że niczem Tatary!

Lecz choć nas tak srodze nęka
Przeznaczenia krwawa ręka,
Nie dajmy się złamać klęską,
Trzymajmy się męsko!

Wnet wrogowie z tronu spuszczą,
Gdy krwi sobie wzajem puszczą,
Wojowania wkońcu syci
Będą jak zbici.

I Ten Sędzia z wysokości
Na proch zetrze ich wielkości;
Bo gwałt każdy i rabunek
Zdać musi rachunek.

A nam błyśnie dzień wolności,
Podźwigną się grody, włości;
Rozśpiewają pieśnią niwy —
Jak Bóg sprawiedliwy!

W miarę jak dalej w pościgu za austrjakami parły wojska rosyjskie, okolica stopniowo opróżniała się z żołdactwa, wreszcie ludność mogła odetchnąć swobodniej.
Oprócz niewielkiej liczby wojskowych pozostało w Dzikowie sporo tak zwanych „rotników", których zajęciem były roboty ziemne przy urządzaniu schronisk i pozycji dla dział i karabinów maszynowych. Byli to przeważnie polacy. U mnie zakwaterowało się ich sześciu, sami gospodarze z kaliskiego. Dobrzy, kochani ludziska; wnet między nami utrwalił się stosunek niemal familijny. W ich towarzystwie znikała monotonna, dławiąca nuda, a wśród długich jesiennych i zimowych wieczorów brzmiały śpiewy i

rozlegały się śmiechy przy godziwej zabawie. Przebywali oni w moim domu całe cztery miesiące. Zmuszeni iść na stanowisko do innych wsi, opuszczali nas ze łzami.

Słyszeliśmy i dużo czytaliśmy przed wojną o wrodzonym barbaryzmie moskali. Zetknąwszy się przecież bliżej z nimi czasu wojny, przekonaliśmy się, że „nie taki djabeł straszny, jak go malują". Prawda, że naród nasz w ciągu wieku zaznał wiele ciężkich krzywd i krwawych prześladowań od moskali. Ale krzywdy te i prześladowania trzeba zapisać przedewszystkiem na rachunek carskich rządów.

Lud (rdzennie) rosyjski, z którego synami my, małopolanie, pierwszy raz zetknęliśmy się czasu wielkiej wojny, nie jest z natury tak zły. Owszem, dużo ma w sobie cech wspólnych rasie słowiańskiej, jak gościnność, co nawet potwierdzają kroniki naszych męczeńskich katorżników, sybiraków.

A że większość żołnierzy rosyjskich hołdowała zasadzie: „co twoje - to moje", to już zasługa systemu wychowania sfer rządzących. Rabunkom zresztą i wszelakim wybrykom oddawali się nietylko z rosyjskiej ale z wszystkich walczących z sobą armij żołnierze. ~~Zresztą~~ Wszakże rosyjscy dowódcy podczas tej wielkiej wojny nie porozstrzeliwali, na szubienicach nie powywieszali tyle tysięcy całkiem niewinnych ludzi, jak owi wierni słudzy „Jego Cesarskiej i Królewskiej Apostolskiej Mości".

Między żołnierzami rosyjskimi poznałem kilku rodowitych Gruzinów od Tyflisu. Dorodni to i rzezwi ludzie, piękni jak ich kaukazka kraina. Ale porozumieć się z nimi było nam trudno. Gruzini obdarzeni są pięknym charakterem. Przez jakiś czas stykałem się z jednym, który będąc na posterunku w Dzikowie, przychodził do nas po mleko. Zaproponowałem mu wymianę mleka na sól, cukier, herbatę, tytoń itp. produkty, o które wówczas było bardzo trudno. Na propozycję tę chętnie ów Gruzin przystał; produkty dostarczał nawet obficie, a swoją drogą za mleko chciał płacić. Ofiary jego, rzecz prosta, darmo nie przyjąłem.

W ciągu trwania drugiej, blisko ośmiomiesięcznej inwazji rosyjskiej, jakkolwiek w każdej niemal chacie dotkliwie odczuć się dawał brak żywności, nie było znowu (ludziom) tak ~~ludziom~~ rozpaczliwie źle, zwłaszcza w tych punktach, gdzie pewna ilość żołnierzy posterunki miała. Do kuchen żołnierskich przychodziły z garnkami dzieci i starsze kobiety i nie wiem, czy wiele było takich wypadków, by z próżnymi garnkami

do domów wracały. Mogło to mieć miejsce tylko tam, gdzie żołnierze sami odczuwali braki.

II

Nareszcie w dniu 22 czerwca 1915. wojska rosyjskie opuściły tarnobrzeczyznę, tą razą już na stałe. Przegrawszy generalną bitwę w Karpatach zrozumieli moskale, że ponowna ich ofensywa na Małopolskę byłaby niedościgłem marzeniem. To też już na kilka godzin przed wycofaniem się z Tarnobrzega porozstawiali się żołnierze po kilku i kilkunastu w różnych punktach wsi i w pewnej chwili jakby na dany sygnał poczęli wyganiać bydło z obór i zganiać je na główny punkt spędu pod zamek, skąd już całe stada popędzono w stronę granicy b. Kongresówki.

Było dużo przeraźliwego wrzasku, płaczu, lamentu wśród kobiet, które rozpaczliwie broniły swej chudoby, ale sołdaci radzili sobie łatwo kolbami karabinów. Mężczyźni na pomoc kobietom spieszyć nie mogli, gdyż każdy, który się tu nawinął, bywał wraz z bydłem uprowadzany. Mnie również zrabowano jedyną krowę.

Nie mając okruchu chleba, pozbawiony kropli mleka — zgoła wszelkich środków do życia, napisałem list do znajomego ~~księdza~~ w Hliboce na Bukowinie, (wówczas miejscowego księdza) Józefa Jaminowskiego, który na kilka dni przed wybuchem wojny odwiedził mię był w Dzikowie, i przedstawiwszy mu ciężkie moje położenie, prosiłem go o pomoc, której w miejscu daremnie byłoby szukać. Zacny ten kapłan nadesłał mi ogółem tysiąc koron, czem umożliwił mi nabycie krowy oraz zaopatrzenie się w niezbędne środki życia.

Powrót austrjaków nie złagodził ciężkiego położenia ludności. Owszem głód wzmagał się coraz większy, coraz dokuczliwszy, a wielki brak mleka z powodu zrabowanego bydła dopełniał miary. Na dobitkę władze rządowe miast nieść pomoc znękanej ludności, trapić ją poczęły coraz

bezwzględniejszemi rekwizycjami wszystkiego, co tylko dla potrzeb wojska służyć mogło oraz zarządzać dalsze pobory mężczyzn do wojska, by uzupełnić w szeregach licznemi bitwami spowodowane luki.

To też wśród spustoszonych wsi i miasteczek, na zgliszczach rodzinnych domostw wzmógł się jęk i lament. Wiele rodzin opłakiwało śmierć lub ciężkie kalectwo swoich najbliższych, na rychłe zaś zakończenie tej burzy dziejowej wcale się nie zanosiło. I zdawało się niejednemu, że wojna ta nie skończy się wcześniej, aż wszystko i wszystkich wytraci.

Więc z podziurawionych i napół rozwalonych kulami austrjackich armat kościołów, z zbolałych serc matek, żon i sióstr, starców i dzieci płynęły ku stropom niebios ciche modły o siłę wytrwania.

W zgliszczach wioski, w gruzach miasta,
W pustem polu chłód,
Panowania objął berło
Bezlitosny głód,
A śmierć cicha i obfita
Zbiera co dnia połów —
Taka teraz nasza dola,
Królowo Aniołów!

Bracia nasi i synowie
Na wolności zew
Pośpieszyli w pole chwały,
Gdzie się leje krew;
Tam znajdują odpocznienie
W chłodzie wspólnych dołów...
Taka dola dzieci Polski,
Królowo Aniołów!

Więc żałobni, utrudzeni
Modlimy się wraz:
Dłoń nam podaj i ku świtom
Jutra prowadź nas!
Zdejm te smutki, co na duszy
Osiadły jak ołów,
A nadziei ożyw ciepłem,
Królowo Aniołów!

Za ofiarę przepełnionych
Krwią gorącą kruż,
Że te życia, prześnie zgasłe
Dla wolności róż,
Za trud wieków, obrócony
Dziś w kupę popiołów,
Ziścij naszych serc pragnienie,
Królowo Aniołów!

Ludzie z miasta przywykli twierdzić, że miasto podczas wojny więcej cierpiało od wsi a to z powodu braku pożywienia, które bądź co bądź wieś mogła sobie wyprodukować. Nie przeczę, że egzystencja w mieście trudną podówczas była, o czem świadczą takie, nieodosobnione wypadki, że inteligenci z miasta, skoro tylko okoliczności normalnej pracy na roli sprzyjać poczęły, szli na wieś najmować się do robót polnych u gospodarzy, byle móc przetrzymać kryzys głodowy.

Ale kto z mieszkańców miast podczas szalejącej wojny nie przypatrzył się zbliska [~~własnemi~~] oczyma stosunkom wsi, nie może mieć nawet przybliżonego pojęcia o nędzy życiowej ludności wiejskiej. Wszystkich zdolnych do pracy mężczyzn nienasycony moloch wojny z domów poza- bierał, pozostawiając tylko kobiety, dzieci i niedołężnych starców. Dotkliwie też dawał się odczuć brak niezbędnego do robót polnych inwentarza. W którem zaś gospodarstwie ocalał jakiś zapasik ziarna czy ziemniaków, mimo panującego w domu głodu nie tykano tego zapasu, zachowując jako nasienie do siewu, by nie dopuścić w polu odłogów.

Skoro przyszła pora uprawy pól, do robót tych zabierały się kobiety, biorąc z sobą do pomocy niedorostków. Wychudzoną na szkielet szkapę wprzęgano do pługa; niedorostek ujmował lejce i bat a kobieta czepigi i rozpoczynała się orka... Podcinana batem szkapa stargając się w wysiłku na zaniedbanej roli, nie ciągnęła regularnie pługa, a ubabrana ziemią, z omdlałemi rękami kobieta upadała w tej pracy od zmęczenia. Tak uprawiona ziemia, w dodatku nie zasilona należycie nawozem, marny wydała plon, którego sprzętem i młocką na cepy również kobiety z dziećmi zająć się musiały.

Najbliższa moja sąsiadka w Dzikowie, matka pięciorga drobnych dzieci, w wieku od 10 lat do 1 roku, nie

mogąc w żaden sposób wynająć koni do zorania swego, jedno morgową przestrzeń wynoszącego pola, zmuszona była całe to pole sama jedna ryć szpadlem. A ponieważ nie ~~mogła~~ również zastosować brony, pole zaś było mokre o nieprzepuszczalnem podglebiu, wynik nadludzkiej pracy biednej kobieciny był taki, że pole nadzwyczaj bujnie obrosło — same chwasty.

Z powodu więc tej nieobecności mężczyzn cała egzystencja wsi opierała się prawie wyłącznie na kobietach. W Dzikowie np. funkcje policjanta gminnego spełniała kobieta, a w Wielowsi, gdy umarł długoletni grabarz, Bartłomiej Gronek, który już paru pokoleniom groby kopał, smutne to po nim rzemiosło objęła jego córka Marja i do chwili, gdy słowa te kreślę, trwa na objętem po ojcu stanowisku.

Chociaż wieś znacznie później niż miasto wróciła do jakiej takiej równowagi po zadanych wojną klęskach, przecież dostarczała miastu produkty rolne oraz nabiał. I nie dlatego, by produktów tych miała wbród, lecz z konieczności, by mieć za co kupić soli, nafty, odzieży, buty oraz wszelkie powinności opłacić, bo gdyby nie to, z pewnością samaby skąpą tę ilość skonsumowała.

W ~~miejsc~~ swoim czasie ustanowiony został jakiś tam urząd do walki z drożyzną, a działalność jego prawie wyłącznie na wiejskiej ludności się skupiała. Bo skoro od litra mleka, funta masła, czy kilku jajek zażądała gospodyni parę fenigów więcej ponad ustanowioną przez tenże urząd aż do śmieszności niską cenę, ze strony kupujących ~~zaraz~~ podniósł się krzyk na „zdzierstwo"; zjawiał się policjant i wlókł kobietę do odnośnego urzędu, gdzie spisywano protokół, a prowiant mimo opozycji kobiety „sprzedawano" za bezcen albo nawet konfiskowano.

Ale skoro chłop np. za proste buty zmuszony był zapłacić w mieście równowartość pięciu, a nawet sześciu centnarów żyta, wtedy ci, co tak sumiennie pilnowali, by kobieta feniga więcej ~~na funcie~~ ponad ustano=

Wkładka, str. 19

Jak we wszystkich, zniszczeniem wojennem dotkniętych powiatach kraju, tak i w Tarnobrzegu utworzony został urząd odbudowy, który zniszczoną wsią zaopiekował się niegorzej od urzędu walki z drożyzną.

Na zarządzenie tegoż urzędu nacięto w lasach mnóstwo pierwszorzędnego drzewostanu, nieraz w takich masach, że ~~sosny~~ sosny na znacznej przestrzeni leżały pokotem, drzewo na drzewie, jak gdyby trąbą powietrzną powywracane, uniemożliwiając dostęp ~~przejazd~~. Nic to. Zapotrzebowanie nawiedzonych pożogą wojenną wsi było ogromne, - a że chłop jest w sobie twardy i uporny, łatwo poradzi z wywózką.

I takby było, bowiem biuro tegoż urzędu, - krótko zwanego Odbudową, - oblegały stale gromady wieśniaków, - ale jak Odbudowie łatwo przyszło zarządzić wycięcie całych rewirów leśnych, tak trudno przychodziło prowadzenie regestrów i wydawanie asygnat. Więc długo w lesie leżące, wystawione na działanie opadów atmosferycznych, w niestosownej porze wycięte drzewo - poczęło butwieć i gnić. A chłopi łazili i łazili, w pokornej postawie skamląc o zmiłowanie.

Najlepiej jeszcze wyszli ci, co to ceniąc każdą godzinę Bożego dzionka i nie oglądając się na Odbudowę, z prywatnego składu drzewo zakupili, mogli bowiem na czas pobudować sobie schronienia i uniknąć długotrwałych niewygód oraz idących stąd chorób.

A skoro nareszcie cierpliwie wyczekujący dożyli tej błogosławionej chwili bezpłatnego otrzymania budulca, na samą tylko robociznę stawiania większe ponieśli wydatki, z powodu spadku wartości pieniądza, niż ci, co nie czekając i nie oglądając się na Odbudowę, z zakupionego całkowicie materjału budynki sobie postawili.

Nieco odmiennie działo się w mieście przy istniejących stosuneczkach. Wielu właścicieli, w których domach nie poczyniła wojna żadnych szkód, dzięki stosunkom ~~z~~ z Odbudową, bez uszczerbku dla własnej kieszeni poprzerabiało sobie domy, n.p. burząc w nich piece ceglane, a stawiając kaflowe, wyrzucając podłogi zwykłe, a układając parkietowe i t.d. A były i takie wypadki, że na pustych od stworzenia świata placach, będących własnością pewnych ustosunkowanych jegomościów, Odbudowa „odbudowywała" wcale przyzwoite domki.

A poniewierający się bez dachu nad głową wsiowi nędzarze patrząc na ten precedens ~~eksperymenta~~, zaciskali zęby i - pięści.

zioną normę za funt masła nie wzięła, jakoś tego nie widzieli, choć było to zdzierstwo o pomstę wołające.

To upszedzenie miasta do wsi nasuwa niezbyt ~~przyjemne~~ wesołe refleksje. Trafiało mi się czytać w gazetach i to nawet w takich, co to mają pretensje uchodzić za pisma „ludowe", takie sobie pikantne wiadomości, jakoby chłop siennik pieniędzmi wypychał, do snopów banknoty chował, a potem przez zapomnienie snopy te wraz ze schowanymi w nich miljonami na sieczkę zerżnął itp. Ci gazeciane, którzy mieli odwagę podobnego rodzaju „wiadomości" przyjmować i w świat je puszczać, o panujących na wsi stosunkach chyba nawet dziecinnego pojęcia nie mieli, albo też wrogo do wsi usposobieni byli. Mógł ten czy ów chłop dorobić się na spekulacji jakiegoś majątecznu, bo i takie wypadki były, ale uogólnianie tych sporadycznych zdarzeń i rozgłaszanie takich, jak wyż przytoczone wiadomości – to już ukoronowany absurd.

Brak mężczyzn nie tak dotkliwie dawał się odczuć w mieście, tu bowiem potrzebni byli urzędnicy do prowadzenia powierzonego im zakresu działania, związanego ściśle z interesem toczącej się wojny.

W Tarnobrzegu utworzoną została „Ekspozytura Naczelnego Komitetu Narodowego" na powiaty Tarnobrzeg i Nisko, z biurem w gmachu rady powiatowej, a urzędowali w niej lustrator wydziału powiatowego Piotr Krasoń i profesor miejscowej szkoły realnej Karol Adwentowski. Wszelkie elaboraty tejże ekspozytury przydzielano mi do przepisywania – bez wynagrodzenia. Z chęcią podjąłem się tej pracy, byłem bowiem przekonany, że służę dobrej, narodowej sprawie. Ale niedługo miałem się przekonać, że cała działalność owego N.K.N. idzie wyłącznie po linji nie naszych narodowych lecz austrjackich interesów, obrachowanych acz nadto widocznie na paraliżowanie dążeń narodu do niepodległej Polski. To też gdy pewnego dnia wspomniani wyżej panowie zlecili mi przepisać jakieś „kawałki" ~~N.K.N.~~ ekspozytury, zbuntowany odmówiłem. Wtedy ~~Krasoń~~ rzekli mi: „Na co się pan złości... My panu zapłacimy"...

~~Chm~~ Hm!, „zapłacimy"... A więc nietylko że do wojska za innymi panowie ci powołani nie zostali, ale w dodatku za czynności te w N.K.N. płacę brali, ~~mnie zaś nic dotychczas nie płacili!~~ że mną się nie dzielac! Ale już rąk do tej roboty przyłożyć nie chciałem i – naturalnie – za dotychczasową pracę ani grosza nie dostałem.

Najstarsza córka moja, Zosia, objawiła ~~była~~ gorące pragnienie ~~uczęszczania do~~ kończenia nauk w seminarjum nauczycielskiego żeńskiego w Krakowie, a której to szkoły w Tarnobrzegu wówczas nie było, owiana bowiem duchem patrjotyzmu pragnęła stać się pożyteczną społeczeństwu. Nie posiadając wszakże ~~środków~~ żadnych ku temu środków i w dodatku cierpiąc niedostatek, opierałem się długo prośbie dziewczęcia. Ale skoro poczęła błagać a łzami się zalewać, brakło mi w końcu siły do dalszego oporu i ostatecznie z początkiem roku szkolnego 1916/17 wyprawiłem ją do Krakowa, gdzie przyjętą została do pryw. seminarjum nauczycielskiego żeńsk. Towarzystwa Szkoły Ludowej im. Fr. Preisendanza. – Pomieszczenie znalazła w jednej z tamtejszych burs za stosowną opłatą.

C.K. starostwa, nad któremi zwierzchniczą władzę miało c.k. namiestnictwo, były podczas wojny wszechwładnemi w Małopolsce powiatowemi władzami, których zarządzeniom podlegały bez zastrzeżeń samorządy z radą powiatową na czele.

~~Na~~ Personal urzędniczy starostwa w Tarnobrzegu składał się z samych prawie polaków, ale w personalu tym trudno było dopatrzeć się polskiego ducha. Wszystkie zarządzenia urzędu tego tchnęły wyłącznie troską o całość c.k. państwa.

I gdy dla naszych narodowych obchodów, jak Trzeciego Maja, urzędnicy ci okazywali stale obojętność, to podczas wojny w c.k. uroczystościach gremialnie udział brali, a w zbieraniu „dobrowolnych" datków na c.k. cele okazywali gorliwość godną lepszej sprawy.

Pewnej pięknej jesiennej niedzieli, nie pomnę dokładnie 1915 czy 1916 roku, wybrałem się do Kościoła

na ranne nabożeństwo, nie wiedząc, że jest to dzień kwesty na jakieś cele c.k. armji. We wszystkich bardziej ruchliwych punktach miasta stały stoliki z porozkładanemi na nich prymitywnemi blaszanemi odznakami w formie medali. Za stolikami tymi usadowili się panowie komisarze starostwa oraz żony ich z starościną na czele. Stolika takiego wprost niepodobna było ominąć, nie okupiwszy się bodaj kilkudziesięciu groszowym haraczem, w zamian za co pobierający datki dekorowali ofiarodawcę blaszką.

Chciałem mimo przejść koło pierwszego stolika. —„Co, nic nie złożysz? takiż z ciebie lojalny obywa=tel!" I na piersi mojej błyszczała już blaszka. Idę dalej: —„Jakto, tylko jeden drobny datek?" więc druga blaszka. Przy trzecim stoliku: —„Jak śmiałbyś tak panią komisarzową pominąć?" Trzecia blaszka. Jeszcze dalej: „Skoro dałeś tam, dajże coś i tu!" Czwarta blaszka! I tak dalej, że gdy nareszcie znalazłem się poza obrębem tego c.k. koła, poobwieszany „medalami" wyglądałem nieprzy=mierzając jak jaki moskiewski generał.

I dopiero ów sławny, w Brześciu nad Bugiem zawarty później traktat, mocą którego ziemię chełm=ską i Podlasie cichaczem oderwano od macierzy=stego pnia na rzecz nowo tworzonej Ukrainy, ostu=dził tę c.k. gorliwość.

Twórcy owego haniebnego brzeskiego paktu, hra=biemu Czerninowi, ówczesnemu austrjackiemu mi=nistrowi spraw zagranicznych, należy się od nas prawdziwa wdzięczność. Traktat ten bowiem odkrył prawdziwe, szczerze dotychczas maskowane zamiary wiedeńskiego rządu względem Polaków i był zarazem kubłem zimnej wody, wylanej na rozpalone głowy zbytnią miłością ku Wiedniowi pałającej części naszej inteligencji.

Nastąpiło otrzeźwienie i żywiołowy odruch, na odgłos którego ocknął się długoletnią wiedeńską hipnotyzą uśpiony naród i zszeregował się duchem na granicach zagrożonej swej odwiecznej ziemi.

Na znak protestu w dniu . . . .

zawiesiły swą czynność wszystkie urzędy, nie wyłączając starostwa; zamarł wszelki ruch na kolejach, stanęły warsztaty, ustał handel i wszelka powszednia praca.

Z okolicznych wsi tłumy ludności ściągały do Tarnobrzega, gdzie liczni mówcy wyjaśniali zgromadzonym haniebną zdradę austrjackiego rządu, nie szczędząc mu srogich okrzyków. Na jednem z takich zgromadzeń, urządzonem w lasku, zwanym „Borkiem miechocińskim", sędziwy wójt dzikowski Jan Słomka złożył na ręce jednego z organizatorów wiecu swój medal zasługi, celem odesłania go cesarzowi.

A pod obłoki huraganową mocą biły słowa Roty: „Nie damy ziemi, skąd nasz ród! Tak nam dopomóż Bóg!" i grzmiała pieśń: „Jeszcze Polska nie zginęła!"

Hej! jak ja wtedy ~~hrabiego~~ (pewnie nie ja jeden!) hrabiego Czernina za ten polityczny absurd błogosławiłem!

Wspaniały to był odruch! Dziesiątki lat żmudnej, nieustającej pracy nad wyplenieniem z duszy narodu austrjackiego zielska, nie dokazałyby chyba takiego cudu, co ten jeden dzień.

Zosia w jednym z swych listów pisała mi z Krakowa, że na zewnętrznej ścianie jednej z kamienic w miejscu ruchliwem można było oglądać wizerunek rozpiętego na krzyżu Chrystusa, po obu zaś jego stronach ~~wizerunki~~ portrety cesarzów Karola i Wilhelma, a na spodzie dużemi literami uwidoczniony napis: „Między takimi dwoma łotrami Pan Jezus nigdy jeszcze nie wisiał".

Ale też i przygnębienie, w całkowite niemal zwątpienie się przeradzające, wywołał ów punkt brzeski u części społeczeństwa, mianowicie w łonie tzw. konserwatystów, który nie wierząc w własne siły i w potęgę ducha narodu, zbawienie Polski widzieli jedynie w łączności z Austrją.

Autor „Betleem Polskiego", poeta Lucjan Rydel, polak gorący, jedna z najszlachetniejszych dusz, jakie w życiowej wędrówce spotykałem, pod wpływem tej zdrady, w dniu 6 marca 1918 r., a więc na krótko przed śmiercią, pisał do mnie między innemi:

„Tak mną wstrząsnęły wypadki toczące się obecnie, że poprostu myśli pozbierać nie mogę. Dotąd jeszcze ciągle jestem jak rozbity i całym wysiłkiem woli zdobywam się na tyle równowagi, ile jej potrzeba koniecznie żeby spełniać codzienne obowiązki, - ale tylko tyle. Myśli zebrać trudno, opamiętać się nie sposób. Każdą wolną chwilę zbywam czytaniem, żeby nie myśleć, nie pamiętać, nie czuć...

„Każdy dzień przynosi nowe przykrości albo zapowiedź nowych krzywd i nieporozumień... Życie mierznie, resztki energji zużywają się w tych zabiegach, wreszcie przychodzi zmęczenie i obojętność bezmyślna, która na wszystko ma tylko jedną odpowiedź: Poco? Czy warto? Ja wiem, że to źle, że to wstyd - zawsze warto i trzeba robić wszystko, co się tylko da zrobić. Trzymałem się, znosiłem wszystko z humorem i pogodą, której się ludzie nieraz dziwili i zazdrościli, bo na końcu tej krzyżowej drogi cierpień widziałem wyraźną zorzę i mówiłem sobie, że wobec niej wszystko jest błahostką. Byłbym wytrzymał i dziesięć lat, byle z tą wiarą, z tą nadzieją. Aż tu jednego dnia okazuje się, że zorza jest tylko łuną pożarną, poza którą tylko pustka i noc. W tę ciemność patrzeć zgroza bierze.

„Prawda, że to wszystko może jeszcze zupełnie się zmienić, mogą zajść rzeczy, o których wie tylko Bóg, rzeczy godne Boga i przyszłej ludzkości, może też zmory z piekła rodem rozwieją się jak mgła. Lecz tymczasem zostaje tylko niepokój, troska, zgryzota. Musieli takiemi oczyma ludzie patrzeć na wzbierające wody potopu i czuć to, co my teraz czujemy. Ale przecie wody opadły i na niebie zajaśniała tęcza. Teraz dopiero nauczyłem się modlić, jak nigdy przedtem, teraz dopiero pojmuję, co znaczy „przyjdź Królestwo Twoje!"

„Wszystkie nasze osobiste przykrości, niedole i trudy toć to tylko dym niby, który wprawdzie gryzie w oczy, ale się rozwieje z pierwszym podmuchem. Byle ten podmuch powiał, byle te zmory porozpędzał, a wszystko złe minie.

„Możem ja nie powinien drogiemu panu wypisywać tego wszystkiego, bo to nie pocieszające. Każdy

me swój głaz na piersiach, poco mu zwalać jeszcze ten cudzy. Ale ja wiem, że my dusimy się wszyscy pod tym samym kamieniem, pan również jak ja, my wszyscy przeżywamy to samo".

Zwątpieniu uległo wówczas wielu moich przyjaciół, chociaż przed wojną radzi śpiewali: „Bartoszu, Bartoszu, oj nie traćwa nadziei, Bóg pobłogosławi, ojczyznę nam zbawi*", a jeden z nich, Szymon Chełpiński, skarżył się mi: „Bodajem tej chwili nie dożył". I niestety! nie dożył biedak dnia zmartwychwstania ojczyzny, której wiele serdecznych piosenek wyśpiewał.

Bardzo to smutne, jeżeli w dniach niepowodzeń brakuje wiary we własne siły. Cierpieliśmy podczas wojny dużo, to prawda, ale też nie należy zapominać, że rzecz wielką zdobyć można kosztem tylko wielkich ofiar.

Gdy gromy wojny, huczące nad nami,
W gorzkiej niedoli wtrącają nas toń,
Zamiast rzewnemi zalewać się łzami,
Wszyscy podajmy sobie bratnią dłoń!
Złączone siły, serca skojarzone
Najsnadniej leczą dusze zasmucone.

Ciężkie przygniata barki nasze brzemię,
Gruzy, popioły – zwykły wojny siew –
Ojczystą naszą zaściełały ziemię
I hojnie ludzka zwilżyła ją krew.
Lecz łzy i skargi, co echem się niosą,
Ran nie zagoją, chat ze zglisz nie wzniosą.

Błogosławieni, którzy silni duchem
Patrzeć umieją śmiało klęsce w twarz
I, niezmożeni nieszczęścia obuchem,
U progów Jutra wiernie pełnią straż.
Im wschodzącego słońca blask promieni
Ciężkie kajdany w lekkie skrzydła zmieni.

Bo wiedz, serdeczny mój ludu Piastowy,
Że z tych zglisz naszych grodów, świątyń, chat
Wnet ku obłokom Feniks wzleci nowy,
Bujnie rozkwitnie się wolności kwiat.

I nową, świetną szatą przyodziana,
Żal nam ukoi Ojczyzna kochana.

Więc, nie poddając się zbytniej żałobie,
Kładźmy fundament pod Przyszłości Chram,
Wszak Pan powiedział: pomagajcie sobie,
Jeżeli chcecie, bym dopomógł wam.
Pomoc wzajemna i jeden duch męski
Niech nam prowadzą wśród dziejowej klęski!

III.

Niedługo po brzeskiej ugodzie było już widoczne, że armje państw centralnych stale ponoszą klęski, a faktu tego nie zdołały ukryć wychodzące pod ostrą cenzurą gazety, zmuszone karmić swych czytelników urzędowemi komunikatami o ciągłych „sukcesach", mimo „strategicznego" cofania się wojsk austro-niemieckich.

Była to więc wyraźna „jutrzenka swobody", z za której wyłonić się nam miało „zbawienia słońce". Ale też i nędza wśród ludności doszła była do zastraszających rozmiarów, powodując bezwład ducha i bezmyślną apatję wobec najżywotniejszych spraw narodu.

Wstrząsnęły ciałem ludu Twego dreszcze,
Gdy oto zorze, Wiekuisty Panie,
Nam ukazujesz na niebiosach wieszcze
Na zmartwychwstanie.

Wstrząsnęły dreszcze sercami naszemi
Jak łanem żyta wiatr w południe skwarne,
Gdy płowe kłosy już chyli ku ziemi
Ziarnem ciężarne.

Wśród rozpętanej, krwawej zawieruchy,
Piorunów trzasku, ognistej spiekoty
Dążymy, pełni wiary i otuchy
Na szczyt Golgoty,

Skąd ujrzyć mieliśmy blask swego zbawienia,
A blask ten oto już nam różowieje,
Gdy ciało w długiej drodze z utrudzenia
Chwilowo mdleje.

O wspomóż, Panie! Wesprzyj wątłe siły,
Gdyż ciężar trudów przytłacza nas srodze, —
Mnogie na naszej znaczą się mogiły
Krzyżowej drodze.

I, poprzez strugi krwi brodząc czerwone,
Widzim dokoła ciał strzępy i kości
I Twych przybytków budowle zburzone
I zgliszcza włości.

O, nie daj, Panie, by w połowie drogi
Z sił wyczerpane ciało omdlewało,
By serce, wolne dotychczas od trwogi,
Drżeć w końcu miało.

Bo choć ogromne są nasze cierpienia,
Bo choć nie milknie wdów i sierót łkanie,
W kres kaźni naszej, w jutro Odrodzenia
My wierzym, Panie!

Największą trudność stanowiło zdobycie środków żywności, na które wydawano owe sławne kartki, a bez których nie kupiłby ani szczypty cukru, ani garstki mąki ani niczego. Dotkliwie też odczuć się dawał brak materjałów na ubrania, płócien na bieliznę i skór na obuwie.

Ludzie na stanowiskach, lepiej sytuowani urzędnicy, wreszcie ci, co to wobec możnych umieli giąć swoje elastyczne karki i z usługami nadskakiwać, braków tych nie odczuwali; — biedniejsi natomiast cierpieli skrajną nędzę, która wielu siłą faktu pchnęła na bezdroża, co głównie dało początek ogólnej demoralizacji.

Tym to wpływowym osobnikom i rodzinom ich nie brakło rzec można niczego, w okolicznych bowiem dworach zawsze się cóś na ich potrzeby znalazło.

Przyciśnięty koniecznością udałem się pewnego dnia do Sikowskiego zamku z prośbą o sprzedanie mi nieco

ziarna na chleb dla głodnych dzieci. Po długiem
i denerwującem czekaniu w pańskim przedpokoju
otrzymałem nareszcie za pośrednictwem przybocznego
sekretarza hrabiego – odpowiedź odmowną. Odmowę tę
motywowano zaś tem, że pełnomocnik hrabiego (Dr
Józef Kaden), jako komisarz zbożowy z ramienia rządu
nie może wchodzić w kolizję z prawem... Dla osłody
zaś tej odmowy radzono mi pójść do starostwa i uzys=
kać urzędowy kwit na wydanie potrzebnej ilości zboża,
a wtedy dopiero zboże to dostanę.

Do tej życzliwej rady jednak nie zastosowałem się,
wiedziałem bowiem nadto dobrze, tak dobrze, jak i ci,
co tej rady mi udzielili, że próba uzyskania od panów
urzędników starostwa takiego urzędowego kwitu byłaby –
niedościgłą mrzonką. Wróciłem więc z niczem.

A skoro memu koledze w biurze opowiedziałem tę
nieudałą do zamku wyprawę ~~wycieczkę~~ i przytoczyłem treść da=
nej mi odpowiedzi, ten odrzekł: „Panie, to polityka...
Gdyby rzeczywiście w tym wypadku jakiś przepis prawny stał
na przeszkodzie, a zapas zboża był nawet co do kilo=
grama obliczony, znaleźliby jeszcze tysiąc sposobów
na obejście przepisów. Mogliby naprzykład zapisać
ubytek jako wydaną ordynarję i wszystko byłoby w po=
rządku". Uwadze tej nie mogłem odmówić słuszności.

Innym razem dowiedzieliśmy się, że W. Frączak,
pełnomocnik dóbr St. Dolańskiego, ~~właściciela dóbr bara=
nowskich,~~ w Baranowie wydziela urzędnikom tarnobrzeskim ~~wydziela~~ zboże;
zaopatrzywszy się w worek pojechałem do Baranowa,
skąd, niestety, wróciłem wraz do domu z tym samym
pustym workiem, straciwszy niepotrzebnie kilkanaście koron
na kolejową jazdę.

Jeszcze innym razem za poradą wtajemniczonych
osób poszedłem do pobliskiego, w skład klucza dzi=
kowskiego wchodzącego folwarku, Wymysłowa, którego
zarządca, inspektor Gumiński, dostarczał znajomym
pszenicę. Było to rankiem przy końcu zimy. Inspe=
ktor jeszcze spał po nocnej zabawie w towarzystwie
austrjackiego pułkownika, niejakiego Matyji. Postano=
wiłem czekać cierpliwie. Może po godzinie czekania
w chwili, gdy kucharka do pokoju pana wnosiła

ranną kawę, przez uchylone drzwi oczy moje spotkały się z oczami pana inspektora, który domyśliwszy się, co mię tam sprowadziło, dyskretnie cofnął się i drzwi za sobą zamknął... Czekałem jeszcze jakiś czas, ale skoro pukanie moje do drzwi nie odniosło skutku, zniechęcony i zły, z niczem do domu wróciłem.

Żeby mi kto nie czynił zarzutu, że na świat i życie patrzę przez okulary klasowego uprzedzenia oraz chcąc być sprawiedliwym, — dla satysfakcji panów dziedziców ~~i ich~~ jakoteż ich wielkorządców stwierdzam lojalnie, że nasi kochani chłopkowie nie przewyższali ich w dobroci i miłosiernych uczynkach, co pozwolę sobie udowodnić paroma faktami.

Spotkałem raz w Tarnobrzegu mego kuma i serdecznego przyjaciela, dość majętnego gospodarza z Wielowsi, W. W., o którym wiedziałem, że żadny zapasik zboża w jego sąsieku pleśnieje, i proszę go:

— „Kumie, zlitujcie się, sprzedajcie mi trocha żyta".

— „Wiele chcecie?"

— „Choćby korczyk..."

A kum, kiwając przyjaźnie głową, odrzekł z gotowością:

— „Dobrze, dobrze — sprzedam".

— „Bóg wam zapłać, kumeczku. Kiedyż mam przysłać furmankę?"

— „Nie potrzebujecie się trudzić, kumie. Za parę dni mam zwóz być w Tarnobrzegu, to wam przywiozę".

Ale minęło tych parę dni, wreszcie tygodni — i nic. Aż raz spotykam przypadkiem kuma i przypominam mu obiecaną dostawę. Wtedy on, jakby nigdy nic, zaczął już z cokiem innej beczki:

„Już dla własnej potrzeby kupuję żyto za Wisłą, bo swego nie mam. Więc i wam radzę pójść za Wisłę, gdzie tanio sobie żyta kupicie".

Ot, i tyle zyskałem!

Kiedyindziej spotykam szwagra, Marcina Ch. z Koćmierzowa i proszę go o sprzedanie mi żyta.

— „Sprzedałbym, sprzedał z drogiej chęci, ale sam nie mam nic, a nic" — odrzekł szwagier.

— „Ależ, szwagrze, tylko ćwierć, — na tyle chyba was stać".

—„Nie mam nic, a nic".

I na poparcie prawdziwości swego twierdzenia począł się szwagierek bić pięścią w kałdun.

W kilka dni później żona idąc do Kocmierzowa, spotyka na drodze znajomego żydka z Wielowsi, wiozącego worki z żytem.

—„Icek—odzywa się tedy moja kobieta— bój się Boga, skąd ty tyle żyta naraz wieziesz?"

—„A od Marcina Ch." - brzmiała odpowiedź.

~~Pojechała tedy żona~~ [illegible] do szwagra i mówi doń prosto z mostu:

—„Tak to, szwagrze, robicie! Kiedy mój prosił was, byście nam bodaj ćwierć żyta sprzedali, toście się zaklinali, że nic nie macie, ale jak dla żyda, to zdybało się u was ~~kilka~~ parę korcy naraz".

A szwagierek z obleśnym uśmiechem odparł cynicznie: „A czy to was byłoby stać tyle zapłacić, ile mi żyd zapłacił?"..

Tak więc na nędzy ludzkiej rośli i tuczyli się paskarze, a siłą popędową, dostarczającą energji dla ich egzystencji, byli właśnie tacy, jak wyżej opisani samolubni egoiści, z których wielu nawet dość szybko na prawdziwych paskarzy się przeobraziło.

Raz atoli owego czasu głodu udało nam się w dość pospolity sposób ~~dojść~~ zdobyć dwa ~~miary~~ korce żyta, a tak to było:

Matuś Ch. gospodarz z Łobzowa, pewnego jesiennego dnia przyniósł do nas ~~5~~ cichaczem 5 korcy żyta celem ~~przechowania~~ ukrycia i uchronienia przed rekwizycją. Za usługę przechowania odsprzedał nam jeden korzec.

W międzyczasie odczuliśmy dotkliwy brak chleba, wobec czego postanowiła żona sięgnąć do jednego z onych, w naszem przechowaniu będących worków.

—„Miejże kobieto sumienie — perswaduję jej — cudza własność jest rzeczą świętą".

—„Sumienie, sumienie — ona mi na to — miałabym to sumienie dopuścić zginąć dzieciom z głodu! Rzecz święta, powiadasz, a jużci! Świętą rzeczą nie grzech to handlować? A na jakiż to cel Matuś żyto u nas przechował? Na handel,

na szmugiel pewnikiem. Czy to nie grzech? Czy to sumiennie byłoby z jego strony?... Lepiej było się z tem swojem przeczulonem sumieniem nie mieszać w takie sprawy! Wezmę, gadam ci, wezmę! Zapłacimy mu przecież. Że nie dam umrzeć dzieciom z głodu, a chłopa uchronię od grzechu szmuglowania darem bożym – czy to nie sumiennie będzie?!..

No, i spieraj się tu z taką filozofującą kobietą! Odsypała więc ćwierć, potem drugą.

W kwietniu dopiero, kiedy to cena zboża doszła była do zawrotnej wysokości, przyjechał Matus po swoje żyto i z miejsca dowiedział się o ubytku pół korca oraz usłyszał propozycję żony odstąpienia nam drugiego półkorca.

Nawymyślał tam coś chłop, namruczał, propozycję żony ze złością odrzucił, ale skoro chciał ów półkorczyk na wóz naładować, żona rozpaczliwie uczepiła się worka i rozpoczęło się wzajemne mocowanie. Przedmiot sporu przechylał się to w tę, to w tamtę stronę; chłop był mocniejszy, ale miłość macierzyńska ku głodującym dzieciom wprost nadludzkich sił kobiecie dodała, wobec czego Matus nie mogąc dać rady, skapitulował – i, nawet nie upominawszy się o zapłatę za ów korzec ziarna, z pozostałemi trzema korcami pojechał. Dopiero za kilka dni przyszedł po zapłatę, którą co do grosza już bez jakiejkolwiek sprzeczki, jakby nic nigdy nie zaszło, otrzymał. Tak więc „był wilk syty i owca cała".

Do ukrywania zboża przed rekwizycją uciekali się wszyscy drobni więksi producenci, używając przytem najrozmaitszych fortelów dla omylenia czujności rekwirujących urzędników i żandarmów. Ale zabiegi ich nie zawsze odniosły dobry skutek, wszystkie bowiem kąciki osiedla gospodarza skrzętnie rewidowano, wszystko – że użyję utartego terminu – „do góry nogami przewracano. Ukrywanie odbywało się zazwyczaj w sekrecie przed sąsiadami, którzy zawistnem okiem wzajemnie na siebie spoglądali.

Zdarzały się naprzykład takie wypadki, że gospodarz uprzedzony o mającej się odbyć rewizji, na ustalony

umyślnie przy gnojowni wóz nałożył worki ze zbożem, potem przykrył je kopiasto gnojem i spokojny czekał rewizji. Ale, niestety, zazdrosny sąsiad podpatrzył i zadenuncjował, wobec czego biedakowi nie tylko że wszystko do ostatniego ziarnka zabierano, ale jeszcze go ukarano.

W podobnego rodzaju denuncjacjach tkwi coś tak haniebnego i potwornego, że określenie postępków takich mianem „chamstwa" wydaje się zbyt łagodną terminologją.

Pomimo że utrzymanie Zosi w szkołach pochłaniało cały mój zarobek, zmuszoną ona była ~~za~~ ograniczać się do najprymitywniejszych potrzeb, cierpiąc stale głód co na jej już i tak wątłe zdrowie niekorzystnie wpływało.

Troska o zdobycie żywności dla rodziny zmuszała mię szukać bodaj groszowych ubocznych zarobków, którym na szczęście z powodu nieobecności powołanego do wojska sekretarza mogłem się swobodnie w wolnych chwilach oddawać, co ułatwiało mi wegetację – ale tylko wegetację.

Pozostałe w domu cierpiące stale głód dzieci, słabły, w konsekwencji czego zdolności do nauk w nich zanikały. Skutki tego głodu odbiły się najpierw na zdrowiu mej matki, która spędziwszy całe swe życie w twardej nieustającej pracy, bez pracy tej wszak żyć nie umiała i pomimo głodu i widocznej niemocy, obojętna na moje przestrogi i prośby, odpocząć nie chciała, dopóki zupełna niemoc na łoże cierpień jej nie powaliła. Po kilku dniach choroby, ~~[illegible]~~ nad ranem 23 kwietnia 1918 r. pobłogosławiwszy nas wszystkich, po 74 latach gorzkiego życia ducha Bogu oddała. ×

Od świtu życie jej się wypełniało
Modlitwą cichą i pracą wytrwałą,
Wczasu południa odmawiała sobie,
W zachód spoczęła w wymodlonym grobie.

W czerwcu 1918 r. Zosia zdała maturę, a choć dwuletnia praca nad sobą w głodzie i chłodzie bardzo ją zniszczyła, radośnie przed siebie patrzyła, a wkrótce ~~otrzymała~~ dostała

powodę nauczycielki bawiącej we wsi Stryżewice, niedaleko Lublina.

~~XII~~. IV.

Ukazali się i żandarmi z bardzo niewyraźnemi minami, budząc swymi, kaducznie ośmieszonemi pozbyciem bączków czapkami skurczonemi ironiczny śmiech u patrzących. Żydzi z pospuszczanemi głowami, milczący i jakby się trzęsący czynili wrażenie struchlałych.

Rzadko spotykam

Wolność!.. Hej! Boże Kochany! Bądź uwielbiony, żeś dozwolił dożyć tej radosnej chwili wybawienia!

W listopadzie 1918 r. gruchnęła wieść: Austrja i Niemcy pobite! i równocześnie na ulicach miasta zjawili się w drobnych grupkach polscy legjoniści. Przewidując klęskę państw centralnych ~~i wyczekujący~~ ukrywani na różnych kwaterach ~~końca~~ wojny nieliczni żołnierze – Czesi, na pierwszą wieść o pogromie Austrji i Niemiec, wypełzli z swych kryjówek i odrzuciwszy precz broń oraz pozrywawszy z czapek austrjackie bączki, z śmiejącemi się oczyma w żwawych podskokach śpieszyli do stacji kolejowej, pragnąc jak najrychlej dostać się do ojczyzny.

Tymczasem legjoniści patrolowali, odbierając błądzącym w osłupieniu po mieście nielicznym c. k. żołnierzom broń, ładunki, tornistry i pasy.

~~Jakiego uczucia w tym wielkim dziejowym momencie doznałem, jak radość serce a duma pierś rozpierała – wysłowić nie potrafię.~~

Witaj Ojczyzno w aureoli chwały!
Wolność na nowo bierze z tobą ślub,
Na nowe życie powstał ~~powstał~~ naród cały,
Odbywszy drogę wszystkich życia prób.
Po długich latach rozłąki, pospołu
Twe dzieci znowu u jednego stołu.

Witaj Ojczyzno! Stuletnie udręki
Znosić umiałaś i nadzieją żyć,

Więc, oczyszczona w ogniu własnej męki,
Świetniej niż ongiś odtąd będziesz lśnić.
I będziesz innym przykładem i wzorem,
Jakiem przez życie dążyć trzeba torem.

Witaj Ojczyzno – Polsko zjednoczona!
Rozbrzmiewaj pieśnią wśród dolin i gór
I bądź potrzykroć sercem pozdrowiona
W męstwie twych synów, wierności twych cór,
Bądź pozdrowiona w tem morzu cierpienia,
Z którego wzięłaś chrzest swego zbawienia.

Bądź pozdrowiona w nowej życia dobie,
W wskrzeszonej erze najświetniejszych lat,
Niech na niewoli i ucisku grobie
Szczęścia narodu rozwija się kwiat!
Z upadku na szczyt chwały wyniesiona
Ojczyzno wolna – bądź nam pozdrowiona!

Wkrótce po odzyskaniu wolności, ukazali się na arenie politycznej powiatu nieproszeni budowniczowie ustroju państwowego w Polsce, z Księdzem Eugenjuszem Okoniem z Radomyśla nad Sanem i Tomaszem Dąbalem z Sobowa na czele. Rozagitowana na licznych, ~~w Tarnobrzegu zwoływanych~~ wiecach i ujęta zapowiedzią oddania rządów „w ręce ludu" oraz obietnicą bezpłatnego rozdzielenia pańskich gruntów, ludność powiatu zaakceptowała projekt owych opatrznościowych mężów utworzenia „Republiki tarnobrzeskiej".

Na czem właściwie owa republika zasadzać się miała, bliżej nie wiem, będąc bowiem zaabsorbowany rozlicznemi osobistemi strapieniami, nie mieszałem się w te sprawy.

Ale obok mnogich, rekrutujących się z bezkrytycznej masy zwolenników, miała „republika" ta także przeciwników, głównie pośród inteligencji. Nieubłaganym zaś wrogiem owych twórców „republikańskiego porządku" okazał się poseł Zygmunt Łasocki, aż dotąd przez ludność powiatu uwielbiany, od chwili zaś kiedy Okoń z Dąbalem położenie opanowali, raptem znienawidzony. Z jego to zarządzenia aresztowano głównych

agitatorów, w szczególności Dąbala, a bardziej zapalonym z pośród okolicznego chłopstwa osobnikom leczono ową republikańską gorączkę — jak fama niosła sypaniem pewnej ilości „bułów".

Ile w tem było prawdy, nie starałem się docieć, ale jeżeli istotnie poseł Łasocki „bułki" sypał, to musiał mieć ku temu wiele słusznych powodów.

Stronnikiem posła Łasockiego w ścisłem słowa tego znaczeniu nie byłem, ale też nie byłem mu wrogiem, za jakiego w oczach pewnych zakapturzonych mameluków uchodziłem.*)

I sprawiedliwość podnieść nakazuje, że w Zygmuncie Łasockim miała ludność szczerego opiekuna i godnego rzecznika spraw swoich tak wówczas, kiedyto jeszcze jako starosta tarnobrzeski kierował sprawami powiatu, jakoteż później, kiedy w parlamencie wiedeńskim posłował. Szczególnie podczas wojny dużo dobrego ludności czynił. Kwatera jego w domu Gołębiowskiego w Dzikowie zawsze była przez tłumy okolicznej ludności oblegana, ~~[illegible]~~ skoro tylko tamdotąd przyjechał. Każdego interesanta przyjął, każdego wysłuchał, każdemu w miarę możności dopomógł. Wystarał się był nawet o tanie ubrania, materje na nie, skóry na obuwie i tem podobne rzeczy, o które wczasie wojny niezmiernie trudno było i towary te po cenie kosztu między najbardziej

*) Powód, dla którego okrzyczany zostałem przez zwolenników Z. Łasockiego jego przeciwnikiem, jest następujący: W roku 1911 podczas kampanji wyborczej kontrkandydat Łasockiego Wojciech Więcek z Machowa, został bezprzykładnie spotwarzony, na czci sponiewierany tak na zebraniach jakoteż w pewnym odłamie prasy przez swych przeciwników, głównie przez Wojciecha Kanarka i gotowych zawsze na jego zawołanie współplemieńców. Do tęgich polityków nigdy Więcka nie zaliczałem; jest on, zwięźle mówiąc, polityk-dyletant. Ale chłopem jest nawskróś uczciwym, polakiem gorącym, obywatelem przykładnym, sąsiadem uczynnym. Honor więc nakazywał ująć się za sponiewieranym niesłusznie bratem; poparłem więc kandydaturę Więcka, by miał satysfakcję, ale bez używania jakichkolwiek kalumnji na jego konkurenta. Niestety, Więcek przy wyborach przepadł, zadośćuczynienia nie otrzymał, aż dopiero później, kiedyto sądy poczęły M. Kanarka ścigać za ujawnione krzywoprzysięstwo, popełnione na niekorzyść Więcka podczas

potrzebującą ludność rozdawał.

Niepochlebne więc świadectwo ludność tarnobrzeskiego powiatu dojrzałości swej wystawiła, skoro w tak niezmiernie ważnym dziejowym momencie, dając się lekkomyślnie uwieść pustym krzykom domorosłych demagogów, nienawiść swą zwróciła przeciw dotychczasowemu posłowi, który tyle dobrego jej czynił i mógł przy dalszem darzeniu go zaufaniem wiele jeszcze dobrego uczynić.

„Sypanie buków", – o ile ono rzeczywiście miejsce miało, – jakkolwiek było nie bardzo politycznie pomyślanym aktem, mogło mieć swój usprawiedliwiony powód. Ludność bowiem nowo utworzonej tarnobrzeskiej republiki zbyt radykalnego nabrała pojęcia o swej osobistej wolności, zbyt wygórowane pod względem przysługujących jej praw miała pretensje, o czem świadczy następujący, jeden z wielu fakt.

Celem uspokojenia rozznamiętnionych umysłów wydali biskupi list pasterski do ogłoszenia go z ambon ludowi. O liście tym i mającem nastąpić w kościołach jego ogłoszeniu, uprzedzeni byli owi samozwańczy trybuni i, pragnąc za wszelką cenę ustrzec się niepożądanego dla siebie zwrotu, podmówili pewnych chłopów, by ci przeszkodzili odczytaniu owego biskupiego orędzia.

Podczas uroczystej sumy w tarnobrzeskim kościele pobożny ludek kajał się Panu w korny modlitwie; klęcząc bił czołem o zimny głaz posadzki i, uderzając się w piersi, żebrał zmiłowania: „Boże odpuść mnie grzesznemu!" ale skoro ksiądz wszedłszy na ambonę zaczął czytanie pasterskiego listu, wtedy świątynię Pańską napełniły pomruki, wreszcie w stronę ambony skierowane podniosły się pięści i rozległy się możliwe tylko w karczmie pogróżki zrzucenia księdza z ambony „na łeb", skoroby nie zaniechał czytania...

---

rzeczonej kampanji wyborczej. Kanarek uciekł był gdzieś – jak mówiono zagranicę – powrócił dopiero kiedy wybuchła wojna, by wstąpić do Legjonów i grożącego mu kryminału przez to uniknąć. Ale udziału w bitwach nie brał, spokojnie robiąc interesy w intendanturze. Chciał on uchodzić za bohatera legjonowego, któremu jakoby _(volgowie ojczyzny) szabla nieprzyjacielska miała pokaleczyć rękę, ale rana ta pochodziła – jak wspomina w swych wspomnieniach Stanisław Szczepański – od poparzenia ręki gorącą z wiszącym ...

Postępek ten owych zbałamuconych i być może nie wiedzących co czynią osobników, przywodzi na myśl zaiste żałosną skargę Chrystusa, wyrażoną w wielkopiątkowej pieśni:

„Ludu mój, ludu! cóżem ci uczynił?
W czémem zasmucił, albo w czem zawinił?
Jam dał, że zbici Chanaan Królowie,
A ty zaś trzciną biłeś mię po głowie".

Sekretarz Wydziału powiatowego, nieprzytomny już kiedy, wrócił nareszcie z wojska i rozpoczęła się formalna praca biurowa.

Tymczasem Rząd powziął był plan rekonstrukcji administracji w państwie, podług którego to planu wydziały powiatowe miały być zwinięte, a urzędnicy ~~zaś~~ tych skasowanych instytucji mieli być jedni w miarę potrzeby wcieleni do starostw, drudzy zaś spensjonowani.

Zawrzała więc w naszym wydziale gorączkowa praca, której zadaniem było zabezpieczenie egzystencji funkcjonarjuszy tegoż urzędu. Robotą kierował sekretarz i oddać mu trzeba sprawiedliwość, że zadania podjął się szczerze i z zapałem.

Ale powiadają: „Co nagle, to po djable"; — tak też i na owych projektach warszawskich sprawdziło się to przysłowie. W chaosie różnych reform zamiary rychłego skasowania rad powiatowych jakoś się przeciągały, wreszcie na martwym punkcie utknęły, z czego skorzystały owe zagrożone instytucje, a porozumiawszy się między sobą, utworzyły komitet i ~~wszczęły~~ rozpoczęły gorączkową akcję, mającą na celu unicestwienie rządowych zamierzeń.

Generalnym sekretarzem a raczej kierownikiem spraw tegoż komitetu ustanowiony został Bielewicz. ~~Wszczęto więc zabiegi~~. Rozpisywano i wysyłano memorjały, przedstawienia i prośby do odnośnych władz, Rządu, Sejmu, do różnych miarodajnych czynników, do poselskich klubów sejmowych wszystkich niemal ugrupowań politycznych, a czynnościami sporządzania czystopisów tychże memorjałów w setkach egzemplarzy — mnie obciążono.

str. 38

Że Bielewicz czynności tych darmo nie spełniał, to się samo przez się rozumie. Mnie za uciążliwą pracę w całej tej akcji wspaniałomyślnie raczył wypłacić pięćdziesiąt ówczesnych zdewaluowanych koron.

Tak więc rady powiatowe szybko zorganizowane przez ich sekretarzy, którzy w tych instytucjach czują się i nadal jeszcze na własnych folwarkach, zostały uratowane. Ale każdy, kto bezstronnie działalność galicyjskich rad powiatowych obserwował, przyznać musi, że są one nieznośnym ciężarem dla ludności danego powiatu i tylko nieliczne uprzywilejowane jednostki ciągną z nich poważne zyski ze szkodą ogółu. Przed wojną jeszcze uszły, choćby dla pozoru utrzymania samorządu, jakkolwiek i wówczas skarg na rady powiatowe słyszeć się dało coniemiara, – ale z chwilą odzyskania niepodległości stały się one przeżytkiem i są balastem w pochodzie do dobrobytu powiatu.

W interesie zatem kraju rady powiatowe powinny ulec zniesieniu, a tylko lustratora i personal drogowy przydzielić do starostwa, a sprawność w administracji nietylko że niczby nie ucierpiała, ale – podług ogólnego sądu – dużoby zyskała; te zaś poważne fundusze, które w formie dodatku do podatków idą na utrzymanie egzystencji rad powiatowych, ~~zostałyby~~ lepiej byłoby ~~obrócone~~ obrócić na podniesienie ogólnego ekonomicznego dobrobytu ludności powiatu, którą to akcję kierowałyby okręgowe towarzystwa rolnicze, zupełnie niezależnie od wydziałów powiatowych, jako już nieistniejących.

Bielewicz, że to przywykł prowadzić życie zakrojone na szeroką skalę, zabrał się do tworzenia przy wydziale powiatowym dalszych zyskownych agend. Począł więc czynić zabiegi koło utworzenia państwowego urzędu pośrednictwa pracy, który przed wojną pod firmą powiatowego biura pośrednictwa pracy żadnych dochodów przysparzał, – to znów o jakiemś tam biuro opieki społecznej, jak gdyby prócz prowadzonych biur wydziału powiatowego, okręgowego towarzystwa rolniczego, powiatowego związku kółek

rolniczych, nie mówiąc już o jego prowadzącem stanowisku w Składnicy Kółek rolniczych, spółce roln.-handlowej „Gleba" i t. d. mało mu tego wszystkiego było!

[Mógłby kto pomyśleć, jak jeden człowiek tylu naraz obowiązkom ~~mógł~~ może podołać? Nie ma tu żadnej nadzwyczajności. Energji, ochoty do pracy i pewnych organizacyjnych zdolności nikt Bielenicowi nie zaprzeczy, – czynności jego atoli w powyż wymienionych agendach polegały z reguły na rządzeniu, pracował zaś personal ~~pomienionych~~ tych biur.] Główny ~~natomiast~~ ciężar przepisywania całego mnóstwa różnych referatów spadł na mnie. Sporządzanie rysopisów memorjałów, odezw, okólników, wezwań i t. d. w setkach egzemplarzy, wreszcie ekspedycja i prowadzenie w zastępstwie zmarłego kancelisty dziennika podawczego i t. d., słowem praca ponad siły wyczerpywała do ostateczności moje zdrowie, nie dozwalając mi co gorsza oddać się ubocznym, tak koniecznym do utrzymania rodziny zajęciom, na które już czasu nie stało.

Nr. 36 Wprawdzie za wykonywanie tych, nie wchodzących w zakres czynności wydziału powiatowego robót, wyznaczał mi sekretarz według własnego uznania ~~[illegible]~~ remunerację, – wynagrodzenie to wszakże było tak skąpe, tak do śmieszności skąpe, że doprawdy wstyd wyznać. Wynosiło ono bowiem za cały rok łącznie taką kwotę, za którą można sobie było sprawić parę lichych koszul.

Jako podległy funkcjonarjusz zmuszony byłem spełniać wszelkie biurowe czynności, jakie tylko sekretarz mi przydzielał, jak zaś za pracę tę wynagradzany byłem, niech powie następujący fakt.

Jeszcze w lutym 1912 r. wezwał ~~zostałem przez~~ ~~mię~~ Bielenicz do zapłacenia „w terminie dni 5 kwoty 12 Koron 30 halerzy" za wzięte na kredyt w towarzystwie okr. rolniczem nawozy sztuczne, „pod zagrożeniem wniesienia skargi". W odpowiedzi na to wezwanie prosiłem, by dług rzeczony zapisano mi na poczet

należącego mi się za pracę w temże towarzystwie wynagrodzenia, na co Bielewicz dał mi uszczypliwą, dosłowną odpowiedź:

„Ponieważ pan czynności towarzystwa rolniczego wykonywał w godzinach urzędowych, nic się panu nie należy. Danie remuneracji jest naszą dobrą wolą, a nie obowiązkiem”.

Tu muszę wyjaśnić, że wszystkie, ~~mówiąc ma-ziosem~~, stosunkowo dobrze płatne, a ze sprawami wydziału powiatowego nie związane zajęcia, spełniał Bielewicz zawsze w godzinach urzędowych i w tychże godzinach na jego zlecenie (i przynagleniu ~~sygnalizowane przynagleniem „zaraz”~~) musiałem przydzielone mi czynności spełniać. ~~A że właśnie na skutek jego przynagleń „zaraz” trza było to i owo na oznaczony czas wykonać, od którego~~ to wysiłku głowa pękała, zaczerwienione oczy mgłą zachodziły, a ręce drżały, nic go nie obchodziło, danie zaś wynagrodzenia ~~za żmudną tę pracę~~ było jego „dobrą wolą”!

Mogłem wprawdzie oprzeć się samowoli Bielewicza i wykonania nieobowiązkowych robót odmówić, ale to narażałoby mię na szykany z jego strony i życie już i tak nie wesołe do reszty zatruło, wobec czego dla świętego spokoju wolałem się mordować.

Najnieznośliwszemi w urzędach istotami są, według własnego doświadczenia, ci podrzędni funkcjonarjusze, którym szefują zarozumiałe, egoistyczne osobniki, jak ów pan. Nic zatem dziwnego, że taki, zwykle liczniejszą rodziną obarczony głodomór, chcąc jakoś żyć, oddaje się z reguły niedozwolonym a szanującemu się człowiekowi ujmę przynoszącym eksperymentowi „ubocznych zarobków”. Stąd żyjąc w pewnej obawie, by grożące utratą posady a w najlepszym razie dochodzeniem dyscyplinarnem sprawki jego przed czasem się nie wydały, zmusza się do hipokryzyjnego gięcia karku przed swym szefem w myśl maksymy „pokorne cielę dwie krowy ssie”, co na podniesienie poziomu moralności chyba nie wpływa.

Urzędowanie w wydziale powiatowym, ściśle ze sprawami administracji związane, samo przez się nie jest uciążliwe, a częstokroć bywa ono przyczynowem

„przelewaniem z pustego w próżne", byle biurokratycznej formułce stało się zadość, na którem to tle możnaby przytoczyć wiele ciekawych przykładów; ograniczę się wszakże do jednego, a jest to szczegół naprawdę ciekawy.

Konduktor drogowy, Dziubiński, będąc raz na kontroli dróg powiatowych, we wsi Trześń zauważył nowo postawioną kuźnię w odległości trzech metrów od drogi. Ponieważ odnośny ustęp ustawy budowlanej przepisuje pięciometrową odległość, a tylko w wypadku szczupłości placu ustęp ten skraca, - zainterpelował także funkcjonarjusz miejscowego wójta, na jakiej podstawie udzielił kowalowi konsensu na budowę kuźni. Wójt odparł, że żadnego pozwolenia kowalowi nie dawał. Więc konduktor przedkłada swej władzy pisemne sprawozdanie, wydział zaś żąda od zwierzchności gminnej wyjaśnienia w dniach 14 i niezależnie od tego poleca ukarać kowala grzywną za przekroczenie przepisów ustawy. Czternastodniowy termin minął, a sprawozdanie nie wpływa. Wydział wezwanie ponawia, nowy termin na odpowiedź wyznacza i grozi wójtowi grzywną. Ale i drugi termin mija bez skutku. Znowu trzeci urgens wydziału i groźba grzywną „na naczelnika gminy nałożyć się mającą". Teraz dopiero nadesłał wójt lakoniczną odpowiedź, że kowal ukarany został grzywną — jednej korony...

Fakt ten miał miejsce zdaje się w roku 1919, kiedy to ówczesna korona przedstawiała wartość kilku dzisiejszych groszy, - Łatwo się zatem domyśleć, jak wójt zdając wydziałowi takie sprawozdanie, śmiać się w kułak musiał... A dodać trzeba, że w czasie, w którym przytoczona sprawa miejsce miała, wszelkie urzędowe wydziału powiatowego listy podlegały obowiązkowo opłacie pocztowej: A więc: kilkokrotna opłata pocztowa, papier, pisanina, registracja etc. z rezultatem jednej korony grzywny, na kowala nałożonej... Ale formule biurokratycznej stało się zadość!

Wydziały powiatowe poza tem, ujemnie na dobrobycie powiatu odbijającem się istnieniem, jako ostoje nielicznej uprzywilejowanej grupy, do ogółu ludności

miejskiej nie były przychylnie są ustosunkowane, co postaram się udowodnić, biorąc miarę z wydziału powiatowego tarnobrzeskiego.

By mieć ściste informacje tak o ogóle ludności danej gminy w powiecie jakoteż o jej poszczególnych mieszkańcach, ustanawia wydział w różnych stronach swego powiatu tak zwanych „delegatów", którzy w pewnych skomplikowanych sprawach jako znający miejscowe stosunki udzielają wydziałowi swej „opinji". Na delegatów wybiera wydział tylko pewnych, oddanych sobie ludzi, a więc leśniczych, rządców – ekonomów i innych oficjalistów ziemiańskich oraz księży proboszczów, wreszcie paru włościan ze swego łona t.j. członków wydziału powiatowego. Jakie oni delegaci odnośnie do interesów ludności zajmują stanowisko, zaraz zobaczymy.

Powiat tarnobrzeski jest jednym z najbogatszych w lasy powiatem w Małopolsce, większość natomiast ziemi ma piaszczystą, a tak zwani „drobni rolnicy" są to w ściślejszem określeniu wyrobnicy, utrzymujący się z zarobków sezonowych ~~przeważnie~~ zwykle zagranicą, będąc bowiem posiadaczami ~~drobnych~~ przeważnie drobnych skrawków ziemi, nie mogliby z tych liliputnich gospodarstw wyżyć. W pięknych lasach, będących bez wyjątku prywatną własnością okolicznych ziemian, znajdywało się obok wspaniałej zwierzyny dużo ~~dużo~~ dzików, które nocami gromadnie wychodząc na żer, w przyległych gruntach chłopskich czyniły spustoszenie, niszcząc częstokroć całoroczną pracę biednej chłopskiej rodziny.

Niszczeni w ten sposób na mieniu gospodarze zwrócili do starostwa umotywowane prośby o udzielenie im pozwolenia na noszenie broni palnej, celem tępienia szkodników. Prośby te atoli starostwo przed ostatecznem załatwieniem przydzieliło z zasady wydziałowi powiatowemu do wyrażenia sądu. Wydział powiatowy ~~[illegible]~~ znów przesłał podania te swym delegatom, więc leśniczym lasów, do których grunta petentów przylegają, „z uprzejmą prośbą o zaopinjowanie". Delegaci zaś – co było z góry do przewidzenia – oświadczali się w każdym wypadku za nieudzieleniem pozwolenia

i ich opinja, jako opinja wydziału powiatowego, była miarodajną.

Tak „poparty" przez wydział powiatowy chłopom nie pozostało nic innego, jak z drągami i widłami strzec nocami swej pracy przed zwierzyną, co wszakże nie na wiele się zdało, gdyż chcąc, by warta ta skuteczną była, musieliby czuwający tworzyć zwarty łańcuch, co przecież było rzeczą niemożliwą, bo któżby w dzień pracował, gdyby tak wszyscy czuwać nocami musieli.

Nie trzeba chyba dodawać, jakie rozgoryczenie, jakie rozdrażnienie między wsią a dworem podobna polityka wydziału powiatowego wytwarza. No, ale jakkolwiek chłopskim dzieciom częstokroć nie stało tego głównego pożywienia - ziemniaków, to utuczone na chłopskiej krzywdzie dziki ocalały.

W lipcu 1919 r. z powodu przeciążenia pracą biurową począłem szybko zapadać na zdrowiu, odczuwając gwałtowną potrzebę spoczynku. Ale sekretarz Bielewicz, jakkolwiek nie mógł nie zauważyć mego wyczerpania, spocząć nie pozwolił mówiąc, że bardzo dużo jest pilnej roboty, w której nie miałby mię kto zastąpić. Mimo więc przedstawień żony i dzieci, mimo ich prób skłonienia mię, bym się położył, chodziłem do codziennych moich zajęć biurowych. Pewnego dnia przed południem wszedł do mej kancelarji sekretarz i kiedy znów, nie wiem który już raz żalić się mu począłem na coraz silniejsze osłabienie, on w obecności mego kuzyna Jana Kusia, ~~który okazyjnie znalazłszy się w Tarnowskiem wstąpił mię odwiedzić~~, ujął w swą dłoń moją, zimną

jak lód rękę, zawyrokował, że nic mi nie będzie, bo gorączki nie mam...

O Stańczyku, Stańczyku! Mimo że już blisko cztery wieków upływa, jak na wieczysty ległeś spoczynek, żyje do dziś dnia pamięć o tobie a to głównie ~~temu~~ dzięki temu, żeś królowi i dworzanom jego sam udowodnił, że najwięcej jest na świecie... doktorów!

Przyszedłszy dnia tego na obiad do domu, po godzinnym wypoczynku zebrałem się znów iść do biura, ale po zrobieniu kilkunastu kroków musiałem naraz do izby nawrócić i całkiem już obojętny, co szanowny szef powie, wstrząsany dreszczami położyłem się w łóżko, a wkrótce potem popadłem w gorączkę. Całą noc przy mnie, w malignie majaczącym, czuwała rodzina, okładając nieprzytomnemu skroń zimnemi kompresami.

Tym razem „doktor" Bielewicz pomylił się w diagnozie, czem pewnie nie bardzo się strapił, boć nawet najznakomitsi doktorzy mylą się nieraz.

Rankiem następnego dnia, kiedy przytomność już odzyskałem, sprowadziła mi Zosia lekarza w osobie dra Franciszka Grochowiaka, który po stwierdzeniu wysokiego stopnia gorączki i jakichś tam, po łacinie nazwanych komplikacji, wystawił mi na piśmie formalne świadectwo lekarskie, zalecające bezwzględne sześciomiesięczne wstrzymanie się od pracy biurowej, i napisał receptę.

Poczciwy ten i kochany doktorek otoczył mię wielką troskliwością i, pomimo że będący wówczas pod jego opieką szpital przepełniony był chorymi, wpadał do mnie co pewien czas umyślnie, przebywając pieszo dwukilometrową drogę i nie przyjmując za wizyty swe wynagrodzenia.

Zebrawszy w sobie siły, napisałem do wydziału powiatowego podanie, w którem na podstawie dołączonego świadectwa lekarskiego prosiłem o sześciomiesięczny urlop. Szczęście tą razą mi sprzyjało, podanie moje bowiem w sam raz trafiło na posiedzenie wydziału, Bielewicza nie było, bo gdzieś za interesem wyjechał, a zastępował go w urzędowaniu

inżynier Maturzyński, człowiek ludzki i wyrozumiały. Na posiedzeniu tem uchwalono mi trzymiesięczny urlop z tem, bym po upływie tego czasu zgłosił się do pracy, ewentualnie przedłożył nowe świadectwo lekarskie.

Sekretarza Bielewicza, skoro wrócił ze swej podróży, uchwała Wydziału, przyznająca mi trzymiesięczne nieróbstwo, musiała zdrowo bardzo poirytować, bo zaraz wyprawił do mnie woźnego z rozkazem, bym się stawił do pracy...

Nasuwa się więc wniosek: Uchwała władzy naczelnej była dla niego w niniejszym wypadku nie nieznaczącym, z pruska pojętym „świstkiem papieru", a miarodajną w tego rodzaju sprawach mogła być tylko jego wola, owa „dobra wola". Ale we mnie zrodziła się już była anarchja i wyprawy woźnego z poleceniem Bielewicza bym się stawił do pracy, nie odniosły żadnego skutku.

~~Kiedy w parę tygodni później przeszedłem się na stację kolejową i tam przypadkowo spotkałem się z Bielewiczem, on, nic nie mówiąc, obrzucił mię takim wzrokiem, jakim się obrzuca przydybanego na gorącym uczynku przestępcę.~~

To osobliwe względem mnie stanowisko Bielewicza stwierdza powiedład, że nie lubił mnie, ~~w przeciwnym bowiem razie nie byłby mi bronił wytchnąć~~ w chorobie i jednocześnie że nie mógł się obejść bezemnie, ~~przysyłając co pewien czas po mnie woźnego~~. Byłem więc dla niego czemś w rodzaju żony, określonej następującym aforyzmem:

„O żonie mówią mędrcy czuli;
Że z nią niedobrze i bez niej źle,
Prawie to samo co o cebuli,
Którą choć z płaczem, jednak się je".

V

Przyszedłszy cokolwiek do sił, na propozycję kuzyna, Jana Kurasia, wziąwszy z sobą Zosię, wybraliśmy się z nim w Pilzneńskie do brata jego, Antoniego, mieszkającego wówczas we wsi Lędziska-Bogun, blisko Brzostka.

Ładna to i zdrowa ta podkarpacka okolica o wzgórzach lesistych z żywiczną ożywczą wonią, z mnóstwem bystrych strumyków. Jest tu na czem oprzeć ~~okko~~ stęsknione oko, jest czem pierś wyssaną ożywić. Wzgórzyste grunta w Siedliskach, w szachownicy drobnych parcel są naogół trudno dostępne i ciężkie w uprawie. Ale lud miejscowy kocha tę swoją ojczystą rolę i ochotnie na niej pracując, rad śpiewa krakowiaki i Pana Boga chwali.

Siedliska budzą smutne wspomnienia. Pierwszą ofiarą rabacji 1846 roku był właśnie dziedzic tejże wsi, Bogusz. Niedaleko leży wieś Smarzowa, miejsce urodzenia haniebnej pamięci Jakóba Szeli.

Myliłby się, ktoby na podstawie wypadków 46 roku sądził, że w okolicy tej ludzie są źli i ciemni. Owszem, lud tu dość światły, uczynny, gościnny i miły w obejściu. Miałem nawet sposobność zetknąć się z wnukami smutnej pamięci rebeljantów, a między nimi z światłym gospodarzem, Mikołajem Synowieckim, którego dziad tak smutnie przy boku Szeli się wsławił.

Ale wy, panowie politycy, kłócący się między sobą na szpaltach gazet ludowych o przewodnictwo nad ludem, nie obrzucajcie się w zapamiętałości waszej partyjnej przezwiskiem Szeli. ~~Nie krzyczcie, że widzicie w ręku przeciwnika „nóż nieboszczyka Szeli".~~

Nie rańcie duszy tego poczciwego ludu wypominaniem win onych nieszczęśników, bo nie powinni wnukowie i prawnukowie i praprawnukowie cierpieć za winy dziadów i pradziadów i prapradziadów swych.

Uczcie się „Chorału".

Bo potomkowie w czterdziestym szóstym pomordowanych nie odznili się z taką nienawiścią do potomków „szatanów czynnych", z jaką odnoszą się do potomków „ślepego miecza".

A onych popchnęła do stania się ślepym mieczem w ręku szatana — ciemnota i wódka.

Bo dawni kierownicy losami kraju i przyszłością poddanego ludu miast budować dla ludu tego szkoły, stawiali karczmy. Miast dać zdrową karm duchową, dali truciznę dla duszy i ciała.

I nie wolno było poddanemu chłopu bez zezwolenia pana oddać syna do szkół.

A chłop, który wbrew woli dziedzica, syna swego cichaczem do szkół wyprawił, przywołany był przed oblicze pańskie i w oczach odszukanego i sprowadzonego przez sługi ~~pańskie~~ łaknącego nauki syna, haniebnemi plagami ćwiczony.

Czegóż się zatem można było później spodziewać po synach tak poniżonych chłopów?...

„Ależ, o Panie, oni nie winni,
Choć naszą przyszłość cofnęli wstecz,
Inni szatani tam byli czynni;
O, rękę karaj, nie ślepy miecz!"

Korzystając dalej z wypoczynku, po skończonych wakacjach pojechałem do żoni do Stryżewic. Właścicielami niewielkiego majątku w tejże wsi są państwo Kazimierzowie Kołaczkowscy, bardzo zacni i dla każdego dostępni ludzie. ~~Proszeni przez żonę, zawsze bezinteresownie przysyłali po mnie konie na stację kolejową w Borkowiźnie, dokąd także z powrotem odwożony byłem.~~

Wiemy, że w swoim czasie utworzoną została także i „Lubelska republika", do tarnobrzeskiej w skutkach swych podobniusieńka. Mówię w skutkach, można bowiem było oglądać te skutki w postaci samowoli nieokrzesanych elementów.

Jak w wielu miejscowościach, tak też i w Stryżewicach służba dworska, ta służba, która nigdy krzywdy od pracodawców swych nie doznała, pod wpływem demagogicznych haseł wygłaszanych przez zwolenników twórców tejże „republiki", raptem poczuła się panem położenia. Bez żadnego zastanowienia, jakie nietylko dla społecznej ale i dla jej osobistej sprawy wyniknąć mogą skutki-

w tak ciężkich dla Ojczyzny czasach, kiedy to należało wszystkie siły wytężyć w uczciwej, produktywnej pracy, zabawiła się w coś, cośmy w potocznej mowie „strajkiem" zwykli nazywać, z uzurpacją nieograniczonej władzy rządzenia.

Kucharkę i służące pokojowe stryżenickiego dworu zmuszono terrorem do opuszczenia służby, w zamian zaś dworze stanął polowy i przeistoczywszy się na wartownika doglądał sumiennie, by ktokolwiek, broń Boże, drewek nie urąbał, wody nie przyniósł, strawy nie uwarzył, porządków nie robił, dzieci nie bawił, — „niech sobie sama burżujka robi". A dodać trzeba, że Kołaczkowscy mieli wówczas dwie małoletnie córeczki, z których starsza, ciężko chora na nogi, chodzić o własnych siłach nie mogła. Za tego rodzaju „wierność" domagała się owa służba od chlebodawców podwyższenia wynagrodzenia...

Nie zawadzi napomknąć, że stryżenicka majętność Kołaczkowskich uległa w czasie wojny zniszczeniu. Wszystkie zabudowania gospodarcze i obory wraz z niemi stada owiec strawił pożar. Mimo tych klęsk, Kołaczkowscy poświęcili się pracy społecznej; oddali jeden z lepszych budynków mieszkalnych na pomieszczenie szkoły powszechnej, dla której rozwoju dziedziczka, jako przewodnicząca dozoru szkolnego nie szczędziła pracy i zdrowia, zyskując przez to ogólny szacunek ludności wsi i ogromną miłość dziatwy szkolnej. Przytoczone zatem postępowanie służby dworskiej jest czemś w istocie swej niepojętem.

Godzi się z tego miejsca zapytać, czy paniom żonom i paniom córkom twórców owej przesławnej „republiki lubelskiej" przydzielono również podobną opiekuńczą wartę, niedopuszczającą, by im ktokolwiek i w czemkolwiek pomagał?...

Urocza to okolica nad wartką Bystrzycą, pełna historycznych wspomnień, jakie w swych „Pamiętnikach" potomnym przekazał Kajetan Koźmian, radca stanu i senator w Królestwie Polskiem od 1815 do 1829 roku,

ówczesny właściciel okolicznych włości. W pobliskiej wsi Bystrzycy, nad rzeką tejże nazwy (z pięknem położeniu) stoi jeszcze stary dom, będący dawniej jego własnością. Ładne jest również położenie dworu w nieistniejących Piotrowicach, ongiś głównej rezydencji tegoż pisarza.

W stronach tych lubiłem odbywać krótsze, samotne wycieczki, które powrotowi zdrowia nader korzystnie sprzyjały. Na cmentarzu w Bychawce nawiedziłem grób Koźmiana i jego żony; niestety oba te groby zastałem w smutnem zaniedbaniu.

W uroczym zakątku Bychawy sterczą ciekawe ruiny dawnego zamku Stojeńskich, w którym chowała się owa, w „Pamiętnikach" Koźmiana szerzej opisana sławna, rozwiązła i roztrzepana kasztelanka gostyńska, Ewa Gałęzowska, późniejsza starościna sieradzka, Kossowska. Ktokolwiek z dalszych stron znajdzie się w Bychawie, radzę mu nie pominąć zwiedzenia wspomnianych ruin zamkowych, ręcząc, że nie pożałuje tego drobnego trudu. Dziś ruiny te z włością są własnością niejakiego Budnego.

Gnany wspomnieniem lat młodości chciałem odszukać w Bychawie owo „cudowne miejsce", gdzie przed laty matka moja ułożywszy mi w dołku głowę, ziemią ją przysypywała, ale z powodu zaszłych w ciągu tylu lat zmian, miejsca tego nie odnalazłem.

W odległości dobrej mili od Strzyżewic w górę Bystrzycy leży Zakrzówek, gdzie przed trzydziestu kilku laty w cukrowni pracowałem. Powziąłem zamiar i tę miejscowość odwiedzić, a ~~zawsze~~ zawsze do usług gotowy dziedzic strzyżewicki użyczył mi bezinteresownie podwody. Więc przy dniu niedzielnym w towarzystwie Zosi i koleżanki jej, panny Heleny Grudzińskiej pojechaliśmy do Zakrzówka.

Okazały gmach fabryki mało co przez te kilkadziesiąt lat pod względem zewnętrznego wyglądu się zmienił, tylko sadzone za mej pamięci przy głównym trakcie drzewka wzrosły się w okazałe drzewa, podnoszące powab tego ustronia. Tu spotkałem

robotnika, który od ~~blisko pół wieku~~ około czterdziestu lat służbę w fab- ryce pełnił. Robotnik ten objawił gotowość oprowadzić nas wewnątrz fabryki, ale miejscowy rządca pozwolenia ~~na zwiedzenie~~ odmówił. Oburzony odmową tą robotnik radził nam poczekać do godziny trzeciej popołudniu, aż rządca gdzieś wyjedzie, a wtedy wbrew woli nieużytego pańka po fabryce nas oprowadzi. Propozycji tej jednak ze względu na brak czasu przyjąć nie mogłem. Ograniczyliśmy się zatem do zewnętrznego obejrzenia fabryki; poczem udaliśmy się do miejscowego kościoła, w pobliżu źródeł Bystrzycy.

Na zewnętrznej ścianie kościoła, gdzie wielki ołtarz, widnieje do dziś dnia napis, który w chłopięcych jeszcze latach odczytywać lubiłem i na dalsze życie zapamiętałem:

„Bóg widzi, czas ucieka,
Śmierć goni, wieczność czeka".

Hej! „Czas ucieka, śmierć goni"... Ileż to już czasu od mego ostatniego w tych tu stronach pobytu uciekło! Iluż rówieśników, towarzyszów pracy w fabryce, ~~a z nimi~~ i wreszcie braci i rodziców moich śmierć dogoniła!...

Od kościoła skierowaliśmy się na drogę, ku Majdanowi wiodącą, gdzie odszukałem kurhanek przy drodze, ów ~~kurhanek~~ niepozorny kurhanek, który mi dał impuls poznania dziejów ojczystych. Na tych tu polach dawniej pracowałem przy obróbce buraków cukrowych, a tuż w przyległym, na szczęście ocalałym, ładnym lasku, raz po raz w chłodnym cieniu drzew odpoczywałem.

Tam znów dalej w szczerem polu rozłożył się odosobniony, bujnie zadrzewiony ogród. To cmentarz parafjalny. Na tym to cmentarzu ongiś matka moja mogiłkę dzieciny swej obfitemi łzami skropiła.

Dziwnie ckliwe budzą się w duszy wspomnienia i tęsknota za tem, co przeszło i co już nigdy nie wróci. I raptem poczułem się osamotnionym sierotą, które „śmierć goni".

Nawracając, skierowaliśmy na drogę, przy której dawniej stały rzędem baraki, przeznaczone na mieszkania dla ludności robotniczej cukrowni. Dziś już ani śladu z budynków tych nie ma, a całą tę przestrzeń zajęły ładne, starannie uprawione ogrody.

Niezbadane wyroki boże! Przed kilkudziesięciu laty tułając się w tych stronach z rodzicami w poszukiwaniu pracy, trza się było na każdym niemal kroku wykazywać paszportem przed moskiewskimi żandarmami; trza było tłumić w sobie cisnące się gwałtem na usta słowa, odnoszące się do przeszłości i dziejów tej ziemi, za wypowiedzenie których łatwo można się było znaleźć w turmie, a dziś...

Dziś już jako wolny obywatel, na wolnej ojczystej ziemi chodzić mogę swobodnie... O, bracia! Pojmujecież i doceniacie wy to krótkie, a jednak pełne jakiejś nieokreślonej potęgi ~~ogromu~~ słowo: „Wolność"?

VI

Trzechmiesięczny mój wypoczynek dobiegał końca. Nie czułem się wprawdzie jeszcze zupełnie zdrów, ale wobec narzekań sekretarza na moje zbyt długo trwające nieróbstwo, postanowiłem już nie korzystać z dalszego urlopu, jaki w razie przedłożenia nowego świadectwa lekarskiego spodziewałem się uzyskać, byle sekretarzowi dalszej irytacji oszczędzić.

A zresztą, któż tam wie, może mój doktorek zbyt przesadną okazał nademną troskliwość, może ten paromiesięczny wypoczynek wystarczył na zupełne usunięcie choroby, którą mój szanowny szef traktował jako symulację i mistyfikację... Wróciłem więc do biura.

W pierwszych tygodniach wznowionej pracy czułem się stosunkowo nieźle, ale im dalej tem bardziej pod nawałem roboty siły mię opuszczały, w krzyżach łamało, w głowie szumi i chaos ~~pow~~ rósł. Na domiar złego szesnastoletnia córka, Bronisława, coraz ciężej na zdrowiu zapadać poczęła, a w mieszkaniu, na półbagnistym terenie stojącego, aczkolwiek niedawno zbudowanego domu, czynił spustoszenie

Wkładka str. 51.

Bo ~~skoro~~ jeśli w księdze przeznaczeń człowieka pisanem mi było bezustanne zmaganie się z przeciwnościami losu, to niechże borykanie to odbywa się nie w krępującem wolność ruchów jarzmie pariasa, nie wśród martwych ścian turmy, lecz swobodnie na otwartem polu; nie w kajucie tonącego okrętu, lecz na wzburzonych falach morza. Gdyż walka taka, choćby nawet bez nadziei zwycięstwa, wytwarza odwagę, napełnia pierś mocą, – gdy przeciwnie szamotanie się istoty skrępowanej, bezwolnej, jest bezsilnym krzykiem rozpaczy.

I nietylko to. Odjęty mi został zmysł słuchu, skarb życia wielki, – pocóż więc jeszcze na zmysł wzroku mam sobie kaptur narzucać? Mieć ciągle przed oczyma przedmioty martwe, beztreściwe, a tylko przygodnie poglądać na twory natury – to nie egzystencja lecz vegetacja i zanik życia.

Bo choćby najwspanialsze dzieło genjuszu ludzkiego, choćby ono nosiło nazwę siódmego cudu świata, nigdy nie może iść w ~~porównanie~~ zawody z najdrobniejszym nawet tworem Bożego ducha. Wszystko bowiem, co ludzkie, martwem jest i przemijającem, lecz co z tchnienia Bożego wyszło, choćby najniklejsza roślinka, drga życiem, tchnie wonią – a lubo szron zimy je zważy, to słońce wiosny odrodzi na nowo. Jest więc wiecznem, niezniszczalnem.

Stąd to dla umiejącego wznieść się nad poziom szary codziennych ducha ludzkiego, świat ten jest najwspanialszym, naturalnym, ogromnym kościołem, w którym każdy twór natury wprawiając nas w zachwyt podziw nad niepojętą mądrością Stwórcy, znośniejszem czyni cierpienie i zwraca ~~umysł~~ się ku Bogu, co już jest najdoskonalszą modlitwą!

T ~~duszę w niebiosa~~ wzniesienie duszy przynosząca

gryp; chcąc rozwój tego pasożyta zlokalizować murarstwem nawiedzone nim podłogi i części ścian wyrąbywać i kipiącem wapnem zalewać.

Żebym za cenę tej nadmiernej pracy w biurze, za cenę coraz bardziej zanikających sił i szybko zużywanego zdrowia, móc bodaj rodzinie znośniejszy byt uczynić i przyszłość dzieciom zabezpieczyć - ale gdzież tam! Głód, nędza, choroby smutne horoskopy przed oczy stawiały. Postanowiłem tedy z tą niemożliwą do dalszego znoszenia dolą bezrolnego zaba skończyć.

Wkładka

Zwróciłem się więc do miejscowego właściciela rozległych włości, hr. Zdzisława Tarnowskiego, z prośbą, by zechciał z dóbr swych odstąpić mi spłachcić ziemi, na którejbym samodzielnie gospodarzył, proponując mu w zamian na początek moją dzikowską realność, albo gotówkę, jakąbym ze sprzedaży tejże realności uzyskał. Ale prośba moja nie odniosła skutku, hrabia bowiem oświadczył, że ziemi, która od wieków jest w posiadaniu rodu Tarnowskich, sprzedawać nie może.

Nie zważając na to, czy ubytek kilku morgów wpłynąłby ujemnie na ogromny majątek hrabiego ~~Tarnowskiego~~, zawsze ~~był~~ jest to majątek jego i on jeden tylko ~~był~~ jest w prawie nim rozporządzać; a ponieważ inną drogą w rodzinnych stronach kupić ziemi nie mogłem, zaniechałem więc dalszych bezskutecznych prób na terenie rodzinnego powiatu i oglądnąłem się za ziemią w dalszych stronach.

Ile wogóle morgów ma hr. Tarnowski?

Może, gdybym był jakiś jeszcze czas poczekał, dałoby się później i w Tarnobrzeskiem parę morgów kupić, już bowiem w tym względzie poczęły się objawiać pewne znaki. Oto Rachmiel Kanarek, pan na Skowierzynie, który swego czasu łatwym sposobem nabył od Horocha dobra wrzawskie, w obawie przed przymusowem wywłaszczeniem na rzecz reformy rolnej, którą Rząd Moraczewskiego był zaprojektował, całe swe dobra w Tarnobrzeskiem sprzedał ryczałtem znanemu przemysłowcowi.

browarnianemu, Goetzowi z Okocima. Już sam fakt, że Goetz dobra te kupił, nasuwał uzasadnione przypuszczenie, że nowonabywca bodaj część ziemi puści na spekulację, do czego później rzeczywiście przyszło.

Ale trudno było wówczas przewidzieć, kiedy do tej parcelacji przyjdzie i jaką cenę na ziemię wyznaczą, a z drugiej strony wzmagająca w domu nędza, choroba Broni i wreszcie opadająca mię fizyczna i duchowa niemoc, nie dopuszczały wahania.

Jeden z moich dawniejszych znajomych objął był właśnie stanowisko dyrektora spółki parcelacyjnej „Ziemia" z siedzibą w Zamościu. Był nim Maciej Stopyra, rodem z Woli Stadnickiej w Żabieńskiem. Do niego zatem zwróciłem się ze sprawą nabycia ziemi.

Stopyra wróżył mi świetną przyszłość i obiecywał wszelką pomoc w zagospodarowaniu się, skoro bym kupił ziemię za pośrednictwem banku, którem on dyrektorował. Stopyrę znałem dawniej jako narodowego działacza, a jakkolwiek bezinteresownej pomocy odeń nie oczekiwałem, miałem do niego pełne zaufanie; wystarawszy się przeto o pieniądze, posłałem mu je na 12 mórg ziemi z będącego wówczas w parcelacji prywatnego majątku Gdeszyn w powiecie hrubieszowskiem, a z którego to majątku Stopyra dla siebie nabył 40 mórg, jak również bracia jego, szwagrowie i bliżsi krewni po kilkanaście i po kilkadziesiąt morgów dla siebie ponabywali. Mieliśmy więc tworzyć tam zwartą kupę znajomych i poza spokojnem życiem na własnym zagonie społecznie pracować.

Ale niedługo miało się sprawdzić stare przysłowie, że „chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi". Ujawniło się bowiem, niestety już po niewczasie, że pan Maciej pracowałby wprawdzie z pożytkiem dla pospolitego dobra, ale tylko o tyle, o ile praca ta w pierwszym rzędzie jemu samemu poważne korzyści materjalne zapewni.

Tak powziąwszy stanowczy zamiar zmiany stanowiska, wniosłem do wydziału powiatowego prośbę o przeniesienie mię w stały stan spoczynku, podając powody, które mię do rezygnacji z posady skłoniły. Prośba moja na jednem z posiedzeń została przyjęta.

Na kilka miesięcy, poprzedzających moją rezygnację, został przyjęty na stanowisko powiatowego instruktora rolniczego przy towarzystwie rolniczem okręgowem, którego biuro mieściło się w tym samym gmachu rady powiatowej, niejaki Jan Kaleta, ze Śląska cieszyńskiego pochodzący. Poprzednio stanowisko to zajmował Jan Maior, zręczny, pełen energji ekonomista. Jakkolwiek Maior wcale ładną miał płacę, a pole działania wdzięczne, nie swoje czegoś tu tej mu było, skoro z posady zrezygnował.

Nowy ten instruktor rolniczy niedługo po objęciu posady poczuł się na niej samotnym i poddał się tępej apatji. Dość często zachodził on do mej kancelarji i tu — o ile czas mi pozwalał starałem się go rozerwać. Żal mi go było serdecznie, to też ile tylko mogłem, wpadałem do jego biura. Pewnego razu zwierzył mi się, że życie na nowej posadzie staje się dlań nieznośnem, a ponieważ nie ma na razie widoków otrzymania gdzieindziej posady, nosi się z zamiarem samobójstwa — i na dowód pokazał mi przygotowany list pożegnalny do rodziny oraz wydobył z kuferka nabity rewolwer ciężkiego kalibru, a demonstrując nim, jak gdyby rzeczywiście chciał sobie głowę kulą roztrzaskać, dawał mi jednocześnie do zrozumienia, że będzie to „lekka śmierć".

Obserwując niesamowity błysk jego oczu i widząc, że nie są to zwyczajne żarty, jąłem mu perswadować i wykazywać absurdność niedorzeczności takiego zamiaru.

— „Popełnić samobójstwo — mówiłem doń — to bodaj durń potrafi; ale dźwigać na sobie ciężar niepowodzeń życiowych i pod brzemieniem tem nie ugiąć się, nie upaść — to dopiero sztuka".

Tymi i tym podobnymi perswazjami dał się nakoniec Kaleta przekonać i, chcąc mi dać dowód, że o samobójstwie myśleć już nie będzie, list ów pożegnalny w moich oczach na drobne cząsteczki potargał. Ale mnie to nie wystarczyło

i jąłem go dalej namawiać, by mi swój rewolwer sprzedał, na co wszakże on przystać nie chciał, ~~nie~~ tłomacząc się, że broń ta stanowi cenną dla niego pamiątkę.

Przed samem odejściem ze służby, dwanaście lat trwającej, a które nastąpiło 3 czy 4 czerwca 1920 roku, ostrzegłem lustratora, Piotra Kraśnia, oraz sekretarza Bielewicza, by uważali na Kaletę, a nawet - o ile pamięć mnie nie myli - Kraśnia namawiałem, by wyzyskał pierwszą nieobecność Kalety w biurze, zamek kuferka jego rozbił i rewolwer „zdeponował". Ale odpowiedzią na moje uwagi i obawy był uśmiech niedowierzania i obojętne ruszenie ramion.

Skoro w parę dni później wstąpiwszy do wydziału odwiedziłem Kaletę, tak się pocieszniec mną ucieszył, że zerwawszy się z miejsca i objąwszy mię w ramiona, począł ściskać, aż tchu mi brakło. A kiedy odeń odchodziłem, bardzo prosił, bym go jak najczęściej odwiedzał. Gdy jednak przez parę dni doń nie zaglądałem, pewnego ranka zastano Kaletę w jego biurze leżącego na podłodze w kałuży krwi z przestrzeloną czaszką i z zaciśniętym kurczowo rewolwerem w dłoni.

Zerwańcy

~~Zamiar~~ Postanowienie przeprowadzenia się na nowe gospodarstwo uległo nieoczekiwanej przeszkodzie. Ku Warszawie parły bolszewickie hordy, które już rozlały się były w prabienowszczyźnie i zamojszczyźnie, gdzie dokazywali Budiennego. W kraju strach blady przejął drżeniem części ludzi, wielkich gębą, ale małych duchem. Wielu z nich, jak już wiemy, gnał ten strach w Poznańskie. Umknął również ze swego posterunku Maciej Słopyra, pozostawiając osadników Łasce Bożej Opatrzności. Nie było rady, trza było czekać.

Było to w sierpniu 1920 r. Nie mając nic pilnego do roboty, pewnego dnia wybrałem się z Zosią za Wisłę do Wiśniar, do mego starego znajomego Michała Smoły, którego młodszy brat Jan piastował był już godność posła do Sejmu ustawodawczego.

Poczciwy Michał był również bardzo straszony bolszewickim najazdem. Ale kiedy jedni uciekali, drudzy zaś drżeli w domu, Michał Smoła, mimo że nie był pod broń powołany, mimo że brakło mu

palca u ręki, a w domu otaczała go gromadka drobnych dzieci — wyrywał się ku Warszawie, by tam stanąć w szeregach walczących o całość Ojczyzny. I tylko szloch, lament i rozpacz opiekującej się jego szlachetnym porywom żony [Młodka] trzymały go w domu. Czy po naszym odjeździe z Wiwiar poszedł Michał za wołaniem Ojczyzny, czy też przemogły lamenty żony tego już nie wiem. Ale jeżeli większość naszych chłopów tak czuć i myśleć będzie, jak Michał Smoła, żadna wraża siła Polski nie zmoże.

Mieszczący szkołę budynek w Strzyżewicach stał nisko obok łąk, przez środek których płynęła rzeka, stąd to powietrze wokół było wilgotne, malaryczne, co na wątłe zdrowie Zosi szkodliwie wpływało. Postarała się więc Zosia o przeniesienie jej na taką samą posadę do Gdesyna, gdzie bylibyśmy razem. Tę nową posadę objęła dopiero w październiku, po zupełnem rozbiciu i wyparciu z granic Rzeczypospolitej bolszewików, zabrawszy z sobą siostrę Julję. Reszta nas, ze względu na chorą Browę, której ~~której~~ późna jesienna pora mogłaby w dalekiej i uciążliwej drodze zaszkodzić, pozostała w Dzikowie, skąd z najbliższą wiosną postanowiliśmy wyjechać.

Nie chcąc daremnem czekaniem do wiosny czasu marnować, postarałem się o przyjęcie mnie do pracy w akcji plebiscytowej na Górnym Śląsku, w czem dopomógł mi (co uczynił mi) Kasper Wojnar, będący wówczas na stanowisku szefa wydziału wydawniczego przy polskim Komisarjacie plebiscytowym w Bytomiu. W biurze tegoż wydziału, mieszczącem się w hotelu „Schlesischerhoff" przy ul. Dworcowej, pracowało nas trzech, tj: wspomniany K. Wojnar, prof. Kaz. Sosnowski z Krakowa i ja.

Ponieważ Górny Śląsk — jak wiemy — przed wiekami oderwany został od pnia macierzystego i niemczyzna była tam wszechwładną, łatwo zrozumiemy, że polski Komisarjat plebiscytowy, na czele którego stał poseł Wojciech Korfanty, zadanie miał dość utrudnione, a propagandę za Polską zmuszony był prowadzić czy to przy pomocy gazet, broszur i ulotek także w niemieckim języku.

Polska ludność ośrodków fabrycznych, jakkolwiek ojczystym językiem słabo władała, przecież zorganizowana

w miastach robotniczych, świadomość narodową posiadała dużą; gdy natomiast ludność wiejska rolnicza, idąca jak zwykle luzem, mimo że posługiwała się wyłącznie polskim językiem, pod względem uświadomienia narodowego stała na dość niskim poziomie. Tem się też tłomaczy fakt, że najbardziej przemysłowe ośrodki za Polską gremialnie się opowiedziały.

Sukces Polski w górnośląskim plebiscycie byłby o wiele większy, gdyby sejm warszawski nie był opóźnił uchwalenia Konstytucji, w czem jednak zaciekle przeszkadzał wróg wewnętrzny. Także dopuszczenie do głosowania po stronie niemieckiej tzw. emigrantów, co było jedynym wielkim szwindlem, bardzo ujemnie dla polskiej strony wypłynęło.

Zresztą co tu dużo gadać! Solidarność niemców w tej sprawie była zadziwiająca. Szczególnie niemiecki kler rzym.-kat. dużo dokazywał. Wprawdzie wrocławski kardynał Bertram zakazał był duchowieństwu katolickiemu brania udziału w agitacji plebiscytowej; ale był to zwykły manewr polityczny, byle polskich księży ~~s~~skrępować, bo niemieckim wszystko było wolno.

Przez cały czas mego w Bytomiu pobytu mieszkałem u pewnej górniczej rodziny. Górnik ów czytywał ~~tylko~~ tylko w niemieckim języku drukowane gazety, po polsku bowiem czytać nie umiał. Ale jaka za to polska w nim była dusza! W zwycięstwo polskiej sprawy wierzył bez zastrzeżeń, a siedząc w domu, ciągle wyśpiewywał „Jeszcze Polska nie zginęła", aż radość brała. Nazwisko owego górnika, o brzmieniu niemieckiem, wyszło mi z pamięci, jedynie imię Wiktor zapamiętałem.

Nie mogę też nie wspomnieć o drugim, bliżej mi znanym górniku z Zabrza, a którą to miejscowość Niemcy na Hindenburg przechrzcili. Górnik ten zwał się Florjan Klosze. Mimo niemieckiego nazwiska, był Klosze wzorem gorącego polaka. Przy każdej sposobności pobytu swego w Bytomiu zaglądał ~~Klosze~~ on do naszego biura, już to by się dowiedzieć o postępie pracy, którą gorąco się interesował, już też by udzielić pewnych aktualnych wiadomości. Klosze był abstynentem; nie pił żadnych trunków, ani nie palił tytoniu.

Raz zaprosił Klosze Wojnara i mnie do Zabrza na zebranie abstynentów. Ponieważ Wojnar z powodu wyjazdu w sprawach plebiscytowych przybyć na zebranie nie mógł, pojechała ze mną pani Wojnarowa, która

również podczas plebiscytu wśród wiejskich kobiet górnośląskich dla sprawy Polski pracowała.

Kilkunastu polskich górników i hutników składało się na to zebranie, któremu przewodniczył Klosze. Żal doprawdy zbierał, patrząc na przedwcześnie postarzałych hutników z popalonemi, zmarszczkami pokrytemi twarzami, a zarazem budziła się cześć dla ich wytrwałej, ofiarnej pracy. Jak zauważyłem, to zebrani z wyjątkiem Kloszego albo wcale pisać po polsku nie umieli, albo też pisali bardzo słabo. Sekretarz tegoż zebrania wciągając do protokołu z odbytego posiedzenia odśpiewaną przez zgromadzonych pieśń:

„Hej nieszczęść wiele przeklęta gorzała,
Zgubę dla duszy, chorobę dla ciała" i t.d.

wpisywał ją pomaleńku, sylabami, co chwila do książki pieśń tę zawierającej zaglądając.

Boże, jakaż bogata dusza w tych naszych górnośląskich robotnikach siedzi, skoro mimo wszelkich, nie przebierających w środkach metod, Niemcy w ciągu długich stuleci spaczyć jej nie zdołali!

Po zgromadzeniu zaprosił nas Klosze do swego mieszkania. Tam poznałem kilku dorosłych jak i ojciec synów Kloszego i dorodną córkę oraz żonę jego, poważną i miłą matronę. Wszyscy, ogromnie radzi z naszych odwiedzin, przywitali się z nami tamecznym obyczajem podania lewej ręki. Nie ma tam zwyczaju całowania kobiety w rękę, widocznie ze względów hygieny, co wszakże poczciwemu Kloszemu nie przeszkadzało serdecznie się ze mną wycałować.

W domu Kloszego czystość, ład-porządek, aż się oczy radują. Na ścianach oprócz obrazów świętych wizerunki sławnych polaków. Zauważyłem również sporo gazet i książek polskich.

Nie wiem, co się dziś dzieje z tym naszym poczciwym ludem robotniczym w szczególności z Bytomia i Zabrza, które to ośrodki tylko dzięki Niemcom pruskim przy Niemczech pozostały. Obowiązek narodowy nakazuje nam utrzymać ścisłą łączność z braćmi górnośląskimi, którzy niezłomnie ojczyźnie wierność dochowali, że nawet, gdy Polska zrzuciła z siebie jarzmo półtorawiekowej niewoli, w walkach powstańczych z Niemcami wiernie tę krwią przypieczętowali:

Na drugi dzień po dokonanym plebiscycie t.j. 21 marca 1921 r., w towarzystwie pp. Wojnarów i prof. Sosnowskiego wyjechałem z Bytomia. Przenocowawszy w Krakowie u mego przyjaciela Bartłomieja Brody, ruszyłem w dalszą drogę. Na stacji w Tarnobrzegu dowiedziałem się, że rodzina moja już z tych stron wyjechała, wobec czego, nie przerywając podróży, na Rozwadów - Lublin - Rejowiec - Zawadę pojechałem do Zamościa, a stąd do niedalekiej już stacji Koniuchy, skąd pieszo 6 kilometrów do Gdeszyna.

Tu trzeba było przedewszystkiem zabrać się do uprawy i obsiewu pola. Ale położenie okazało się nad wyraz skomplikowanem. Nie miałem ani konia ani żadnych niezbędnych narzędzi gospodarczych ani też wreszcie ziarna do siewu. O wynajem siły pociągowej jakoteż kupno potrzebnego nasienia było bardzo trudno, cała bowiem wieś uległa była podczas wojny zupełnemu spaleniu i obrabowaniu z inwentarza żywego. Ocalała jedynie cerkiewka i duży murowany spichlerz folwarczny. Ludność więc okoliczna cierpiała okrutną nędzę, zmuszona w dodatku z powodu braku mieszkań dusić się w skleconych naprędce na gruzach popalonych zagród prowizorycznych chatynkach albo też w ziemiankach. Przecież przy bożej pomocy pole jakoś obrobiłem i obsiałem.

Największą troskę na nowem gospodarstwie sprawiał zupełny brak budynków gospodarczych oraz odpowiedniego mieszkania. Słopyra bowiem, jakkolwiek zapewniał mię był, że „budynki, o jakich tylko zamarzę” będę miał „bajecznie tanio, gdyż materjał mamy swój” za doręczone mu pieniądze postawił nędzną, ciasną, ledwie możliwą do zamieszkania budę, której powałę stanowiły nieobrżnane, ~~od niechcenia~~ jak bądź zarzucone ~~ułożone~~ na belkach „okrajki”. W chałupie tej, na której postawienie Słopyra - mimo że „materjał mieliśmy swój” - drzewa pożyczył, panowało bezprzykładne zimno, tem bardziej, że i piece w niej postawił jakkolwiek, byle zbyć.

Każdy osadnik w Gdeszynie oprócz owej ziemi i łąki nabył także odpowiednią do ilości ~~nabytej~~ zakupionej roli

Z pobytu mego na Górnym Śląsku nie wiele mam do opowiedzenia. Pięknie tam, bo pięknie; ład i porządek wzorowy, praca wre mrówcza, – ale pod tem czarnem bladem niebem, zasnutem unoszącemi się wiecznie z łonu kominów fabrycznych ~~unoszącemi się~~ dymami, nie bardzo swojo mi było. Toteż skoro raz z Wojnarem wyjechaliśmy kiedyś z Bytomia dalej na wieś, już sam widok pól czy zielonego lasku jakąś rześkością ożywiał duszę, napotykana zaś tak rzadka w tamtych stronach ~~chat~~ biała chata ~~pod~~ z ~~sł~~ szarą słomianą strzechą wprawiała ~~mię~~ w jakiś radosny zachwyt, jakgdybym z dalekiego obcego świata do rodzinnych stron wrócił. – Dziwnie doprawdy działa na wyobraźnię człowieka widok przedmiotu, z jakim od dziecka się żyło!

I nic dziwnego. Wszak i ptak, wyzwoliwszy się z ciasnej klatki na wolność wśród zielonych pól czy lasów, wolność swą śpiewem objawia. Toteż i mnie po takiej wycieczce zaraz brała ochota coś ~~zaśpiewać~~ wypowiedzieć na temat zbliżającego się plebiscytu, jak np.

Dziewczynie górnośląskiej.

~~Z~~ nadwiślańskiej strony stowarzysz śpiewkę (itd. do końca).

~~W~~ Podczas długiego przebywania w bierne czuło mi się ~~wypoczywanie~~, to też z niecierpliwością oczekiwałem [illegible] głosowania.

Hej, zaświtaj dzień radosny, dzień tyś utęskniony itd.

Na parę tygodni przed głosowaniem ofiarowano mi zajęcie w redakcji „Przewodnika Śląskiego" w charakterze pomocnika redaktora, którym był poseł Gabryel Dubiel, o ~~skłonny byłem przyjąć tę objęć~~ ile-bym po udowodnionym plebiscycie ~~nie~~ został bez zajęcia – i skłonny byłem przyjąć tę objęć, lecz ~~za~~ ciągle niespokojny myśla o chorej córce i reszcie dzieci, zaraz po zakończeniu głosowania, nie żegnając się prawie z nikim, w towarzystwie pp. Wojnarów i prof. Sosnowskiego ~~wyjechałem z Bytomia~~ poszliśmy na kolej ~~by wyjechać~~ i – w drogę!

Skorośmy się usadowili ~~wygodnie w pociągu~~ w wagonie prof. Łomnicki przypomniał mi, mówiąc: Otrzymał pan gorzowilęską dzierżawę i miał ją obronić, kabzę pan wypychał i ~~nic~~ – dopuścił.

Obiecał – obiecałem, ale nie na swój koszt...
A profesorek będzie mi tu jeszcze „Kabzę” wytykał!

działkę lasu, z drzewostanem budulcowym. Niestety, las ten został przez sprzedawcę zadwastjonowany, który to fakt Stopyra we własnym interesie zręcznie przekonać zataił. To też skoro po sprowadzeniu się do Gdeszyna chciałem z swego lasu zwieźć drzewo na budowę, - sprzedawca ~~majątku mówił nie dopuścił, i las zamknął grożąc skargą i kryminałem~~ pod groźbą skargi sądowej i kryminału „za naruszenie cudzej własności" zwózki zabronił i las zamknął. ~~Dotyczył~~ Zakaz ten dotyczył wszystkich nabywców.

Majątek Gdeszyn, ogólnego obszaru ...... dziedzictwo Horodyskich z Mołodjatycz, uległ był podczas wielkiej wojny - jak zresztą większość majątków we wschodnich połaciach Polski - całkowitemu zniszczeniu. Ziemiaństwo znalazło się więc w ciężkiem położeniu, nie mogąc popalonych i z wszelkiego tak żywego jakoteż martwego inwentarza oraz z ziarna ogołoconych folwarków zagospodarować, - stąd to ~~zmuszeni byli~~ ziemianie ci zmuszeni byli celem uruchomienia innych gospodarstw część ziemi sprzedać, ku czemu w dodatku pchała ich wisząca nad ich głowami groźba wywłaszczenia na rzecz reformy rolnej, jak nie mniej bliskość i niepewność granicy z Rosją, ~~ustalonej~~ zawrzełonej zówczas po linję Bugu.

Ale skoro po pogromie bolszewików pod Warszawą 1920 r. granica Polski posunięta została hen na wschód, dalej, skoro ci właściciele wielkich latifundjów po rozpatrzeniu się bliżej w chaosie położenia, w jakiem zówczas znajdowała się nowo odradzająca się Polska, przyszli do przekonania, że może uda się reformie rolnej kark skręcić, a w najgorszym razie stępić jej ostrze przeciw nim skierowane, poczęli zidua żałować swego pośpiechu i wielu z nich usiłowało wyzuć nowonabywców z prawnie nabytych gruntów. ~~W~~ Tą ~~ślad~~ drogą poszli również Horodyscy, próbując bodaj las nowonabywcom odebrać.

W kupnie - sprzedaży majątku pośredniczyła wspomniana już spółka parcelacyjna „Ziemia" i ona pieniądze na grunt od nowonabywców przyjmowała, - było więc jej moralnym obowiązkiem

dopilnować, by parcelanci nie zostali pokrzywdzeni. Tymczasem miast tego, umyła po piłatsku ręce, zwalając perfidnie całą winę na dziedzica, któremu – obłożywszy się porządnie na spekulacji parcelacyjnej drogi zastąpić nie śmiała, zostawiając osadników własnemu losowi.

A osadnicy gdeszyńscy, pochodzący z różnych stron Polski: od Lublina, Łańcuta, Tarnopola, Lwowa, Nowego Sącza itd., złożywszy ~~pieniądze~~, uzyskane ze sprzedaży gospodarstw w rodzinnych stronach, pieniądze w ręce spółki i nie mogąc z powodu zamknięcia im losu przystąpić do stawiania koniecznych zabudowań, w większości zmuszeni byli na podobieństwo dzikich zwierząt zamieszkiwać z drobnemi dziećmi wykopane w ziemi nory – razem z bydlętami.

Na mieszkańców wsi Gdeszyn składa się ludność mieszana tj. prawosławna i rzymsko-katolicka. Lud tu poczciwy, pobożny, pracowity, w trudzie ~~wytrwały~~ zahartowany. Przed rokiem 1905 było tu zaledwie kilka rodzin rzym.-katolickiego wyznania i dopiero po owym pamiętnym ukazie tolerancyjnym, przeciągnięci gwałtem na prawosławie unici, masowo poczęli powracać do wiary ojców. Jest to wieś dość ładna i schludna, gęsto zabudowana, w zieleni bujnych sadów tonąca. Szczególny przedstawia ona urok na wiosnę, kiedy rozkwitną sady, oraz w jesieni, gdy liście drzew barw purpurowych nabiorą.

Strony te wszakże dręczył obmierzły, po zaborcy powstały wrzód, mianowicie koniokradztwo. Bywały okresy, że nie było tygodnia, w którymby na terenie hrubieszowskiego powiatu kilka koni nie skradziono, wykrycie zaś złodziei należało do rzadkości.

Stali mieszkańcy Gdeszyna, ~~jak~~ lubo zupełnie przez wojnę zniszczeni, w przeciwieństwie do nowo osiadłej na rozparcelowanym tamże majątku ludności byli o tyle w korzystniejszem położeniu, że otrzymywali od Rządu materjał na odbudowę spalonych osiedli; gdy natomiast ko-

lonjści oddani własnemu losowi i w dodatku odsunięci od prawa korzystania z zakupionego lasu, życie mieli nad wyraz ciężkie.

W początku maja 1921 r. przyniosła mi poczta list od nie= znanego mi osobiście posła na sejm ustawodawczy, Jana Sobka z Handzlówki w Łańcuckiem. W liście tym, dowiąc się, że zamilkłem, namawiał mię Sobek i zachęcał, bym w imię dobra ojczystej sprawy pi= sywał do gazet ludowych, jak to czyniłem czasu wojny, dowodząc, że w obecnym czasie rozbujałej prywaty bardziej niż kiedykolwiek otuchy naród potrzebuje.

Po otrzymaniu odemnie odpowiedzi z wyjaśnieniem, że trudne warunki bytowania, w szczególności ciężka choroba córki, nie dozwalają mi jąć się pióra, - odpi= sał mi Sobek, bym nie tracił otuchy, zachęcając do wytrwania.

Jakoś niedługo zawitał do mnie hrubieszowski starosta, Walenty Hlyń, i okazał mi wystosowane do niego ~~list~~ pismo ówczesnego ministra rolnictwa, dr. Józefa Raczyńskiego. W piśmie tem, na skutek interwencji posła Sobka oraz dwu jego kolegów Jana Babicza i Adama Krzyża, p. minister gorąco prosił starostę, by mi udzielił ~~z mocy swego urzędu~~ możliwie jak najdalej posuniętej pomocy w uruchomieniu gospodarstwa, zaznaczając, że „~~Kurasiowi i rodzinie jego grozi wymarcie~~" „jeśli się Kurasiowi nie dopomoże, to zginie nietylko on ale i jego rodzina".

Na skutek tego polecenia poczciwy starosta postarał się o przydzielenie mi pary koni z uprzężą i wozem, dwu kwintali peluszki na ~~paszę~~ karmę dla koni, wreszcie jednego kwintala żyta na chleb - wszystko na spłatę dogodnemi ratami. Prawda, że konie były liche, stare i wynędzniałe, jednak na owe czasy wprost nieocenione.

I tu nie mogę się powstrzymać od refleksji: Całe moje życie - to nieprzerwane pasmo utrapień i trosk o jutro. Mało kto mię rozumiał. Mówiono o mnie zazwyczaj, że jestem „z natury skłonny do narzekań", choć wątpię, czy był człowiek, któryby mniej odemnie na los swój „narzekał". Jakże inaczej pojął mnie poseł Jan Sobek oraz minister dr Józef Raczyński. Oni mnie zrozumieli!

Starosta Hlyń, bardzo zacny i dla każdego nierzadko przystępny człowiek, wolny od tego balastu biurokratycznego,

jodli ku utrapieniu obywateli i wielkiej szkodzie Państwa duszącą zmorą przysiadł życie wszystkich tak państwowych jakoteż autonomicznych urzędów, – i stąd ciesząc się ogromną sympatją ludności powiatu, byłby mi więcej pomógł, ale niestety, był on już wówczas na „przymusowym urlopie", a to dzięki ~~partyjnej~~ nieprzebierającej w środkach i ustawicznie dołki pod nim kopiącej partyjnej zawiści, i wkrótce musiał ustąpić z zajmowanego stanowiska. Wobec tego interwencja posła Sobka jakoteż orędownictwo ministra dra Raczyńskiego tylko częściowy skutek odniosły.

Ministrowi Dr Józefowi Raczyńskiemu mają Koloniści gdyńscy dużo dobrego do zawdzięczenia. On to, [poinformowany] ~~dowiedziawszy się~~ o usiłowaniach dziedziców Horodyskich odebrania nam lasu, ujął w swe ręce tę sprawę i skierował ją na tory pomyślnego dla Kolonistów rozstrzygnięcia. Niestety, był to już okres galopującej dewaluacji marki polskiej, to też [zawartość] (gotówka, jaką Koloniści ~~przyjęli~~ zachowali na konto stawiania budynków, spadła do zera.

Stan zdrowia Broni ciągle się pogarszał, wreszcie w wielką sobotę 15 Kwietnia 1922 r. ta pełna ochoty do życia dziewczyna, w dziewiętnastej wiośnie odeszła nas w zaświaty. Na drugi dzień tj. w wielką niedzielę pojechałem do Grabowca kupić trumnę. Przypadek chciał, że pieniądze zgubiłem, a stolarz [katolik] ~~(illegible)~~ mimo solennego zapewnienia że na drugi dzień pieniądze mu odwiozę, nie chciał wydać trumny, wobec czego z niczem wróciłem do Gdyni, gdzie dopiero uczynni sąsiedzi potrzebnych pieniędzy mi pożyczyli. Trzeba więc było drugi raz do oddalonego 9 km. Grabowca jechać.

W wielki poniedziałek przy licznym udziale ludności obojga wyznań odprowadziliśmy Bronię na wieczny spoczynek na nowo założony niedawno otworzony w Gdyni [rzym. kat.] parafji cmentarz, a pierwszym grobem na tymże cmentarzu był grób Broni. W najpiękniejszej wiośnie życia bezlitosna ręka śmierci wydarta zbolałym rodzicom i kochającemu rodzeństwu, spoczęła wieczno pod dębowym krzyżykiem w szczerem polu, gdzie latem

Wkładka do wykładu I str. 63.

O takiej to pracownicy ~~(z utworu~~ ~~nauczycielce~~, ~~„Z wiejskiej włóczki"~~
mówi Konopnicka w utworze „Z wiejskiej włóczki":

„Młoda żniwiarka na wspólnych prac niwie
Stanęła śmiało
I snop swój ciężki wiązała cierpliwie
Przez dobę całą.
Choć nikt zacięty nie ozwał się słowem,
Nie dał pomocy,
Trwała tak, stojąc na polu jałowem
Z świtu do nocy.
I tylko czasem pobladła zmęczona
Z mokrą powieką,
Wznosiła swoje mdlejące ramiona
W przestrzeń daleką.
I tylko czasem szeptała: „Jak ciemno!
Kiedyż zadnieje?"
Walcząc z śmiertelną niemocą daremno,
Tracąc nadzieję".

Niebawem spostrzegła się Zosia, że choroba czyni szybkie postępy; ~~czemu chcąc~~ a widząc, ~~że dalsze zaniedbanie doprowadzi by mogło~~ ~~sprowadzić gorsze następstwa~~ czemu należy natychmiast przeciwdziałać, a ~~niechcąc~~ widząc, że ~~jeżdżenie do Hrubieszowa~~ [illegible] inspektora i oczekiwanie [illegible] ratunku dwa razy ~~[illegible]~~ gdy pomoc lekarska w tym wypadku nie dopomoże ~~chorej~~ najmniejszej ulgi, pojechała do Zamościa a stąd na zlecenie lekarza prosto do Lublina, gdzie doktor specjalista zbadawszy stan chorej, polecił Zosi umieszczenie [illegible] na dwa miesiące i stosowanie przepisanej kuracji

I Wkładka str. 63.

Nauczanie dzieci w szkole gdeszyńskiej prowadziła Zosia sama jedna. Frekwencja dziatwy dochodziła setki. Prócz zwykłej programowej nauki uczyła Zosia ponadto dziewczęta szycia i haftów. Za salę szkolną służyła wynajęta we wsi zwykła, niemożliwie ciasna izdebka, w której biedna ta nauczycielka w kurzu i zaduchu przebywać musiała zwykle siedem godzin dziennie. Z żalem i niepokojem patrząc na wątłą tę dziewczynę przedkładałem jej, by, dbając więcej o swe zdrowie, zmniejszyła ilość spędzanych w szkole godzin. Daremnie. Tłómaczyła, że w skróconym czasie nie dałaby rady wszystkiemu, a dalej że byłoby to wykroczeniem przeciw obowiązkom.

Zdumiewająca zaiste energja wspierała ~~słabą~~ tę słabą ciałem ale mocną duchem istotę, skoro poza obowiązkami szkolnemi znalazła czas na urządzanie przedstawień amatorskich i organizowanie chórów śpiewackich, w czem po żmudnej pracy w szkole znajdywała rozrywkę i zarazem odczuwała wewnętrzne zadowolenie, iż mogła zapadłą tę wieś ożywić duchem cywilizacji.

Wkładka

Do dozoru szkolnego gminy Mołodjatycze, w skład której wchodzi także wieś Gdeszyn, wszedł był swego czasu wspomniany już na innem miejscu Maciej Stopyra, w charakterze zastępcy przewodniczącego. Na jednem z zebrań tegoż dozoru postanowiono budowę szkoły w Gdeszynie i wręczywszy Stopyrze kwit na przygotowany na ten cel materjał budowlany, zlecono mu zajęcie się zwózką tegoż. Jednak Stopyra nie widząc snać w tem przedsięwzięciu osobistej korzyści, odnośny kwit schował do kieszeni, by go po kilku miesiącach, gdy już złożony, daremnie leżący materjał zabrała inna wieś, zwrócić dozorowi.

Tymczasem urągające najprymitywniejszym wymogom hygjeny warunki w ciasnej, wilgotnej i dusznej izbie szkolnej, oraz przeciążenie pracą obowiązkową, poczęły na zdrowiu Zosi zgubne skutki wywierać. Zapadła na chorobę krtani; głos jej ochrypł, a wypowiedzenie każdego słowa sprawiało jej ból w gardle. Udała się więc do Hrubieszowa, gdzie lekarz powiatowy dr Skrobiszewski wystawił jej świadectwo lekarskie, zalecające dwutygodniowy wypoczynek. Ale zastępca inspektora szkolnego, Jagoszewski, przepisany Zosi przez lekarza urlop

zredukował do czterodniowego wypoczynku.

Skoro się Zosia (z niebawem) spostrzegła, że choroba czyni szybkie postępy, stroskana pojechała do ~~Lublina~~ Zamościa, a stąd za poradą lekarza do ~~Lwowa~~ Lublina, gdzie doktor specjalista zbadawszy stan choroby, polecił Zosi zaprzestanie nauki na dwa miesiące i stosowanie przepisanej kuracji. Wniosła więc do hrubieszowskiego inspektoratu szkolnego podanie, a załączywszy doń świadectwo lekarza-specjalisty, ~~oświadczyła~~ oznajmiła, że uczyć nie może i prosiła o udzielenie ~~stałego~~ dwumiesięcznego urlopu.

W odpowiedzi na podanie to otrzymała z inspektoratu ostrą naganę, że bez pozwolenia jeździła do Lublina, oraz zawiadomienie, że za samowolne przerwanie nauki ~~zastosowane~~ wdrożone przeciw niej zostaną dochodzenia dyscyplinarne, wreszcie rozkaz natychmiastowego podjęcia pracy w szkole i nakoniec pouczenie, że dla nich tj. dla hrubieszowskiego inspektoratu szkolnego „miarodajnem jest tylko świadectwo miejscowego lekarza powiatowego"

Tak potraktowana przez swą bezpośrednią władzę szkolną, w obawie represyj i utraty posady w umiłowanym całą duszą zawodzie, wróciła biedaczka do szkoły, gdzie już – nie mogąc głośniej mówić – posługiwała się wobec dziatwy gestykulacją...

Ale mnie, jako ojca, tak bezprzykładne postępienie inspektoratu szkolnego względem chorej córki do głębi wzburzyło. Z odpowiedzi, danej córce na jej prośbę o urlop przebijało coś w guście złej woli. Bo i jakże? Powiedziano wyraźnie, że „dla nas miarodajnem jest tylko świadectwo lekarza powiatowego", a z drugiej strony świadectwo to ~~ignoruje~~ świadomie ignoruje się, jak w przytoczonym wyżej wypadku zredukowania przepisanego przez powiatowego lekarza dwutygodniowego urlopu do czterech dni! Napisałem więc do inspektora, Wilhelma Gregera, i usprawiedliwszy córkę prosiłem go, by zapowiedziane represje dyscyplinarne jako niesprawiedliwe cofnął.

Jako odpowiedź otrzymałem od tegoż inspektora Gregera gęsto wykrzyknikami naszpikowany list, w którym między innemi wyliczając, ile to sił nauczycielskich jemu podlega, zapytuje: „coby się ~~stało~~ działo, gdyby tak całe nauczycielstwo postępowało, jak panieńka córka?" Doprawdy, „coby się ~~stało~~ działo?"... Coby się ~~stało~~ działo, gdyby w na-

sumiennem spełnianiu swych nauczycielskich obowiązków zszargawszy zdrowie wśród czterech ścian przesyconej stęchlizną, kurzem i wyziewami dziatwy ciasnej izby, groźbą represji zmuszone zostało wytężać te resztki zmarnowanych sił, jak w tym wypadku moja córka?... Oto, panie inspektorze ~~Greg~~, ~~stałoby~~ działoby się ~~tam~~ niezawodnie tak, że kolumny nekrologów na szpaltach „Głosu Nauczycielskiego" powiększyłyby się dziesięciokrotnie.

~~A~~ Skoro ~~więc~~ „tylko świadectwo lekarza powiatowego" było dla hrubieszowskiego inspektoratu szkolnego „miarodajnem", nie ~~było dla~~ miała nieszczęśliwa nauczycielka innego wyjścia, jak odbywać i to podczas najniezdrowszej, chłodnej pory roku nieskończenie przykre podróże do Hrubieszowa do badań lekarskich; podróże, które jeżeli nawet dla normalnego człowieka są męczące, to dla chorego już wprost zabójcze. A ówczesny lekarz powiatowy dr Skrobiszewski ~~wystawił świadectwo~~ widząc przed sobą wybladłą, dygocącą i ledwie trzymającą się na nogach nauczycielkę, napisał jej świadectwo bez żadnego badania ~~chorej~~ li tylko na podstawie okazanego mu świadectwa, które inspektor potraktował był jako nonsens. I dopiero ~~poświadczenie~~ świadectwo to okazało się „miarodajnem" i uświęconej formułce biurokratycznej stało się zadość.

Istnieją w Polsce towarzystwa ~~ochrony zwierząt~~ opieki nad zwierzętami, nakładające nieraz nawet surowe kary na osobników dopuszczających się dręczenia tych niemych stworzeń. I słusznie. Boć i te twory boże mają czucie i chyba nie na męki dał im Stwórca istnienie na ziemi. A czy chora nauczycielka ma być ~~z pod podobnej ochrony wyłączoną?~~.. ~~ma być~~ czemś gorszem od zwierzęcia?

Okazałe sanatorjum nauczycielskie w Zakopanem może uwzględnić zaledwie znikomy procent zgłoszeń suchotników. A reszta? – Reszta przedwcześnie umiera, otrzymując po śmierci za swe męki życiowe ~~jedy~~ nagrodę w postaci nekrologów, drukowanych często, gęsto na szpaltach warszawskiego organu polskiego nauczycielstwa.

Nareszcie po wielu zachodach przyznano Zosi (dłuższy) urlop dla poratowania nikłego już zdrowia, ale urlop bezpłatny. Jako zastępcę na czas swej bezczynności w szkole poleciła inspektoratowi Władysława Ignatowskiego, co też inspektor uwzględnił.

~~Wspomniany~~ Ów W. Ignatowski wstąpił był z chwilą wybuchu wojny do Legjonów. Po zakończonej kampanji przyjechał do Gdeszyna, dokąd rodzice jego na zakupioną z rozparcelowanego majątku 14 morgową działkę z pod Krzemowa się przesiedlili. Tu poznał Zosię, oświadczył się i został przyjęty. Jako trzyklasista gimnazjalny nie mógł się wykazać potrzebnemi kwalifikacjami na nauczyciela, więc Zosia zadała sobie trud poszerzenia jego nauki, a niezbędnej w zawodzie nauczycielskim wiedzy. I pomimo, że w udzielaniu mu lekcyj ~~milcząc~~ posługiwała się tylko pismem i gestykulacją, mówić bowiem nie mogła, a zresztą mówienia lekarz jej zabronił, ~~doko~~ swą cierpliwością i wytrwałością dokazała tego, że po jakimś czasie mógł Ignatowski przy protekcji wspomnianego już b. starosty hrubieszowskiego, W. Hłynia, w tym czasie nauczyciela w gimnazjum żeńskiem zamojskiem, zdać wstępny egzamin w Zamościu i na tej podstawie dostał prowizoryczną posadę nauczyciela.

II wkładka str. 63.

Teraz dopiero mogła Zosia spokojnie poddać się kuracji. Co miesiąc jeździła na tydzień do Lwowa, gdzie lekarz-specjalista chorób gardła dr Orest Litwinowicz prawdziwie po samarytańsku nią się zaopiekował. Zacny ten człowiek dowiedziawszy się, że Zosia urlop ma bezpłatny, nie chciał brać od niej ~~przypadającego~~ należnego honorarjum, mówiąc, że skoro powróci do zdrowia i zarobkowania, wtedy mu zapłaci. I szło jakoś. Pomalutku poczęła się Zosia wygrzebywać z przykrej choroby, która ze zwykłej dolegliwości krtani przeszła już była w gruźlicę gardła, tak pospolitą u nauczycielstwa szkół powszechnych.

prócz poszumu bujnych zbóż i śpiewu polnego ptactwa a zimą poświstu mroźnych zawiei nic innego nie ma.

W listopadzie 1922 r. córka Julja wyszła zamąż. Ze względu na żałobę po śp. Broni wesele odbyło się cicho (bez tańców i muzyki) ~~przy~~ z udziałem najbliższych tylko sąsiadów.

W sześć miesięcy później (9 maja 1923 r.) odbył się ślub Zosi - także bez zabaw i w szczupłem gronie znajomych. ~~Na~~ ~~ślub Zosi przyjechał ..~~ Na „wesele" to - nie bacząc na trud dalekiej drogi - przyjechał kolega Robert Rydz z Bochni w towarzystwie Jana Lisowskiego. Ci dwaj kochani goście, a szczególnie niewyczerpany w humorze i dowcipach Lisowski, potrafili szczupłe to grono prawdziwie uweselić. Postarali się nawet o wypożyczenie skrzypiec, na których po skromnej uczcie (smętne melodje wygrywali) które musiały się ~~sąsiadom~~ bardzo podobać sąsiadom, gdyż przychodzili na podwórze, słuchali tych tonów, rozbrzmiewających w ciszy majowego wieczora, jak czegoś niebywałego.

I wkładka

II wkładka

~~We wrześniu 1925~~ W pięć miesięcy po zaślubinach Zosi, ~~umarł~~ u mego sąsiada M. Stopyry ~~(umarł)~~ chłopak starszy umarł na dur brzuszny. Matka zmarłego musiała zwyczajnie prać szmaty w przepływającym przez moją łąkę strumieniu, w którym i z mego domu prano bieliznę, albowiem wkrótce po tem syn mój zapadł na tę chorobę. Ledwieśmy go odwieźli do szpitala w Hrubieszowie, a już ta sama choroba objawiła się u najmłodszej córki, Marji. Więc i z nią do szpitala!

Drogą kołową Hrubieszów oddalony jest od Gdeszyna coś 20 kilometrów. Jaki zaś wilgotną jesienią i (zwłaszcza) wiosną drogi hrubieszowskie obraz przedstawiają, pojmie tylko ten kto o tych porach (roku) drogi owe zmuszony był przebywać. Na ~~przedstawienie~~ określenie wiernego obrazu hrubieszowskich dróg nie umie się kusić. Dobrze jeszcze, gdy nieoszosowana droga biegnie wśród pól, bo można na pola zboczyć, ale tam, gdzie koło dróg ciągną się rowy z przepływającą wodą, których przekroczyć się nie da, trzeba być prawdziwym mistrzem, by ~~uch~~ wozu od wywrócenia w dołach, ~~gnojówką~~ rzadkiem błotem napełnionych ustrzec, a konie (już nie) od połamania nóg ale ~~nawet~~ od (formalnego) utopienia uchronić.

Dzięki troskliwym zabiegom lekarzy z dyrektorem szpitala doktorem Dubiszewskim na czele, dzieci moje szczęśliwie ciężką chorobę przetrwały i po trzech tygodniach mogłem je ze szpitala odebrać. Ale już po paru dniach syn, wstrząsany dreszczami, musiał się w łóżko położyć, gorączka wzmogła się, a ~~na~~ ciało upstrzyły drobne, ledwie dostrzegalne plamki.

I znowu jazda z nim do Hrubieszowa temi samemi przepastnemi, ~~przedpo~~towemi drogami. Gorącość od chorego bije jak z pieca; deszczyk mży, a on usiłuje wyzwolić się z ochraniających go przed zimnem pierzyn. Wywołane gorączką pragnienie dręczy go, to też słabym głosem przynagla: „prędzej, jechać prędzej!” Więc na bardziej uciążliwych do przebycia odcinkach drogi podcinamy buchające parą, obryzgane błotem szkapy; wóz niemiłosiernie podskakuje, to znów zapada się w pełne maźistego błota doły, aż biedny chory prosi: „pomału, pomału!” Nareszcie po wielu fizycznych i duchowych udrękach, szczęśliwie przywieźliśmy Stasia do szpitala, gdzie konsylium lekarzy sprawdziło dur ~~plamisty~~ wysypkowy.

Tu wypada wyjaśnić przyczynę, ~~dla~~ z powodu której popadł Staś w drugą, jeszcze cięższą od poprzedniej chorobę, tem niebezpieczniejszą, że codopiero opuściwszy szpital, bardzo był wyniszczony. Córka Marja, także chora, parę dni wcześniej od brata szpital opuściła. W przeddzień zaś odebrania Stasia po pierwszej jego chorobie ~~przyj~~ umieszczono w tej samej sali wieśniaczkę podejrzaną o dur plamisty. Lekkomyślna służąca szpitalna nie poddawszy chorej przed wniesieniem jej na salę, przepisanej kąpieli, przeniosła od niej na Stasia wszy, a skutki tego niedbalstwa nie dały długo na siebie czekać.

Chorego chłopca odwiedzałem parokrotnie sam, raz zaś oboje z żoną. Rankiem udaliśmy się do stacji w Koninchach, skąd koleją 26 km. do ~~H~~ stacji Hrubieszów, a stąd 2 km. do miasta. ~~Wróciliśmy~~ Przyjechaliśmy nazad do Koninch późnym, ~~ciemnym~~ wieczorem. Na dworze ciemności iście egipskie, a my szliśmy, ~~trzymając się za ręce~~, stromliwą, ~~błotną~~ drogą, trzymając się za ręce i tym sposobem chroniąc jedno drugie od upadku i utopienia w tej błotnej mazi.

Trawiony wysoką gorączką podczas długiej choroby i zmuszony ~~zacho~~ do zachowania ścisłej diety jako głównego w chorobie tej warunku, stał wysechł na istny kościotrup. Ale chorobę wytrzymał. Dyrektor szpitala dowiedziawszy się później że chory całkowicie wyzdrowiał, dziwił się odpornej naturze Chłopaka, przypisując jego wyzdrowienie cudowi.

W ostatni dzień maja 1924 r. powiła Zosia córeczkę, Danusię. Co za radość ogarnęła młodą tą matkę, z jak bezgraniczną macierzyńską miłością do swej dzieciny przylgnęła - wysłowić trudno. I zdawało się, że samo istnienie tej maleńkiej istoty zdrowie chorej matce przywraca. Niestety, zmuszona jeździć teraz już dwa razy w miesiącu do Lwowa, nie mogła być ciągle przy dziecku, które popadło w chorobę silnej biegunki i w czwartym miesiącu zmarło.

W końcu grudnia 1924, czy w początku stycznia 1925 r. - niepomnę dobrze kiedy - Zosia z płaczem wróciła ze Lwowa, dokąd do lekarza przed kilkoma dniami była pojechała. Oto serce zacnego doktora Łitwinowicza bić przestało. Nie zastała go już. Spoczął przedwcześnie w mogile, zmożony ~~na~~ chorobą serca. Odtąd ciągle wspominając go, słała do Boga ciche westchnienia o spokój pięknej jego duszy i łzy serdeczne wdzięcznością roniła.

Inny lekarz, do którego Zosia po śmierci śp. Łitwinowicza w celach dalszej kuracji jeździć była zmuszona, zastosował jej odmienną metodę leczenia, czem tak dodatniemi wynikami wieńczone dzieło poprzednika zniweczył.

Nie brakło mi i na tem nowem miejscu cierni na drodze, którą kroczyć musiałem. Najdotkliwszemi były dla duszy choroby dzieci i śmierć Broni. Bo gdyby nie to, byłoby mi mimo wielu braków całkiem znośnie. Miałem tu ruch i świat boży przed oczyma otwarty. Nie tak, jak wśród owych martwych czterech ścian biura, gdzie pozbawiony wszelkiej swobody ruchu, zmuszony ślęczeć długiemi godzinami nad jałowemi urzędowemi komunałami w zupełnej głuszy, domawiałem

wrażenia, jakiego doznaje skazaniec, żywcem zamurowany w grobie, co na mój stan duchowy fatalnie wpłynęło.

Okolica stron tych wcale ładna — „jama". Lasów stosunkowo dość; pola żyzne, urodzajne. Wioski przeważnie zachowały swój dawny, sielski charakter, a niektóre jak n.p. Korytyna, śród zielonych lasów ukryta — wprost śliczne.

Drobni rolnicy, dzięki wiekopomnemu dziełu wielkodusznego Ks. Stanisława Staszyca, mają się tu od dawna dość dobrze i umiejętnie gospodarują.

Przy drogach pełno krzyżów, widomych znaków głębokiej wiary ludu. Kto z dalszych stron Polski pierwszy raz znajdzie się w tych stronach, mimowoli zapyta za Lenartowiczem: „Czemu tyle krzyży stanęło przy drogach?" A każdy niemal z tych krzyżów ma swoje odrębne dzieje na tle prześladowania Unji. W pobliżu mego osiedla stoi duży, ładny, jeszcze jak nowy, dębowy krzyż, a historja jego dość ciekawa. Którego roku został postawiony, nie wiem. Ufundowali go katolicy, co prawosławnemu duchownemu bardzo się nie podobało, zaczem zaraz po wkopaniu krzyża przyszedł ze swemi owieczkami i poświęcił go według prawosławnego rytuału. Ale to jeszcze bardziej niespodobało się fundatorom. Wykopali więc ten krzyż, oheblowali go „z prawosławnego pokostu", ładnie pomalowali i naraz postawili; a ksiądz katolicki dokonał poświęcenia. I takim krzyż ten do dziś stoi. F

Kolei przed wojną w stronie tej nie było. Jeszcze do roku 1923 najbliższy urząd pocztowy był w Hrubieszowie. Do tego to urzędu przed wojną transportowano przesyłki drogą kołową aż z Chełma, gdzie kolej była. Później powstał urząd pocztowy w bliższych o połowę drogi Werbkowicach, a wkońcu w oddalonym 8 km. od Gdeszyna Grabowcu.

Mimo tej niewygody z ~~p~~ doręczaniem poczty, kilka włościan gdeszyńskich prenumerowało gazety, ~~[illegible]~~

Przyzwyczajony do gazet i książek, ~~ten~~ brak poczty w bliskości dość przykro odczuwałem. Na szczęście niedomaganie to wynagrodził mi sowicie stary mój znajomy, zacny ksiądz Józef Janiszewski z Grębanina w Poznańskiem,

przysyłając mi od czasu do czasu spore paczki książek, tak, że zawsze miałem coś świeżego do czytania.
Z ofiary tej szczodrego księdza korzystała również miejscowa ludność tak wsi jakoteż kolonji. Zgłoszeń o pożyczenie „coś do czytania" miałem tyle, że każda przystępna dla wiejskiego czytelnika książka wędrowała z rąk do rąk. Jak zaś wzruszające zamiłowanie do czytania było między tymi prostymi ludźmi wystarczy nadmienić, że pewien stolarz ze wsi, rusin prawosławny, nazwiskiem Trychonowicz, czytać wcale nie umiejący, pożyczał odemnie książki, które mu syn wyrostek odczytywał. Po przeczytaniu, a raczej po wysłuchaniu przeczytania, odnosił mi książkę z podziękowaniem i prosił o drugą. Jeżeli więc czytelnictwo to umoralniający wpływ na ludność wywierało — główna zasługa przypada księdzu Janiszewskiemu.
Okres powojenny był bardzo ciężki szczególnie dla zniszczonego rolnika. Ale ja, nawiedzany nieszczęściami w rodzinie, egzystencję miałem bardziej niż kto inny nie wesołą. Brak gotówki dotkliwie odczuć się dawał, jak zwykle na nowo powstałem gospodarstwie. Wprawdzie ~~Wydział~~ tarnobrzeski wydział powiatowy wyznaczył mi był emeryturę za dwadzieście wysłużonych lat, była to jednak kwota drobna i z miesiąca na miesiąc podlegająca ~~[illegible]~~ inflancji tak, że wcale nie wchodziła w rachubę.
I byłbym sobie nie dał tak łatwo rady, gdyby nie bezinteresowna uczynność jednego z moich starych przyjaciół. Jest nim Bartłomiej Broda, dziecię położonej w widłach Wisły i Sanu wsi Wrzawy w Tarnobrzeskiem, ~~sierota~~. Od chłopięcych lat zmuszony był ciężko pracować jako bezdomny i bezrolny najmita. ~~Jako wyrostek~~ Będąc wyrostkiem, zarobkował na folwarku, później chodził na flis, a skoro flisy upadły przyjął służbę parobka u Feliksa Gutowskiego w Nadbrzeziu, gdzie przesłużył ~~[illegible]~~ ... lat. Nie pił żadnych trunków, tytoniu nie palił, grosz każdy oszczędzał, wszystkiego sobie odmawiał prawie do skąpstwa. Doszedłszy czterdziestki, ~~uciułał sobie~~ miał już uciułanych około trzech tysięcy koron, złożone na książeczkę w tarnobrzeskiej powiatowej kasie oszczędności. W roku 1915 dostał porady wojennego przy studjum żołnierzem Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

Tu dalej oszczędzał ile mógł, wiodąc samotne życie ~~oszczę~~ spartanina. Wreszcie spadła na niego klęska. Szalejąca inflacja spowodowała spadek krwawych jego oszczędności — prawie do zera. Ale mimo tej straty nie zmienił dotychczasowego trybu życia, oszczędzał ~~dalej~~ po dawnemu, a skromne te oszczędności nadsyłał mi co pewien czas tytułem bezprocentowej pożyczki. Tak więc dzięki uczynności kochanego Bartka dokończyłem jako tako dom, postawiłem stodołę.

„Oj, nie tak się trzyma
Wierny cień człowieka,
Jako smutek tego,
Co przed nim ucieka!...
Chodziłem za pługiem,
Chodziłem za broną,
A wszędy poniosłem
Duszę zasmuconą"
(Konopnicka.)

Powyższe słowa poetki, tak trafnie określające dolę biednych ludzi, śmiało mogę do siebie zastosować. Zawsze, gdziem się tylko ruszył, „wszędy poniosłem duszę zasmuconą", — przecież — wyrażając się słowami Łukowskiego —

...„smutki trzymając pod strzechą,
szedłem przez życie z uśmiechniętą twarzą"

i nikt, kto zwykł ~~był~~ brać miarę wartości człowieka jedynie z jego zewnętrznego wyglądu, nie mógł nigdy odgadnąć, co się w mej duszy działo, — a działo się w niej zgoła nie wesoło.

Zauważyłem, że także najmłodsza córka niedomaga, choć pytana stale odpowiadała, że nic jej nie dolega, ale ojcowskiego serca oszukać się nie ~~pozwoliła~~ dało. Więc długa choroba Broni i wreszcie jej śmierć; potem groźna jakkolwiek szczęśliwie przebyta choroba duru tyf. dwojga najmłodszych, nakoniec złe wróżące niedomaganie Zosi — czyżby wszystko to nie dopełniało jeszcze miary?

By móc zapobiec grożącym nieszczęściom, trzeba być w dość, w bardzo dość korzystniejszych warunkach materjalnych, inaczej bowiem ~~czeka nas~~ – jak się wyraził w piśmie do starosty Hłyniu minister dr Józef Raczyński ~~czeka nas~~ ~~wymarcie~~ zginie moja rodzina. – To też poseł Sobek, wcale niepomyślnie starał się w ministerstwie reform rolnych o przydzielenie mi dla powiększenia gospodarstwa 10 mórg w Gdeszynie, lecz w tej miejscowości rząd ziemi do dyspozycji już nie miał.

Więc w czerwcu 1923 r. wniosłem na ręce posła St. Rymara prośbę do Sejmu o przydzielenie mi na dogodnych warunkach odpowiedniego kawałka ziemi z któregoś majątku państwowego. Prośbę tę moją – jak głosiły komunikaty dziennikarskie – poparli ~~posłowie sejmowi~~ innymi członkowie Komisji rolnej ~~wszystkich stronnictw politycznych~~ bez różnicy stronnictw, a ówczesny kierownik ministerstwa reform rolnych przyrzekł ją przychylnie załatwić.

Na tem miejscu nie mogę pominąć ~~mikroskopijnego~~ drobnego a jednak wiele mówiącego faktu. Treść rzeczonego komunikatu, zatytułowanego tłustym drukiem: „Ziemia dla F. Kurasia", była tak osobliwa, iż zdawało się, że rząd przydzielił mi gratis jakiś folwark. I rzeczywiście takie było zdanie czytających, skoro od nieznajomych, nawet z Ameryki, otrzymałem gratulacje „z powodu podarowania mi przez rząd folwarku"...

Na skutek rzeczonej prośby Ministerstwo reform rolnych pismem z dnia 10 lipca 1923 r. Nr 3470/P.O. przyrzekło mi 15 hektarów „z zastrzeżeniem, iż z chwilą przydzielenia mi działki ziemi posiadaną w Gdeszynie kolonję odsprzedam małorolnym lub bezrolnym", – zastrzeżenie zresztą zbyteczne, gdyż czy to na uruchomienie nowego gospodarstwa, czy wreszcie na ratowanie chorych dzieci, – tak czy owak ziemię w Gdeszynie musiałbym sprzedać.

Faktyczny przydział nastąpił dopiero późną jesienią 1924 r. we wsi Karwia ~~koło Pronowic~~ ziemi Pronowskiej. Do uprawy nietkniętej pługiem od ostatnich żniw ziemi można było przystąpić dopiero z wiosną następnego roku, albowiem dzierżawca ~~owego podlegającego rozparcelowaniu majątku~~, powołując się na przysługujące mu prawa dzierżawne do końca 1924 r., orać zabronił.

W międzyczasie dowiedziałem się, że: owa przyznana mi działka ~~miała być~~ projektowaną była do rozdziału między sześciu miejscowych gospodarzy celem uzupełnienia ich karłowatych gospodarstw, oraz że pozostały

po rozparcelowaniu majątku Karwia 15 hekta-
rowy ośrodek jest w całości do sprzedania, – nie
chcąc (zatem) dać owym gospodarzom powodu do na-
rzekań, iż z mej winy przydział ich ominął, ~~sta-
rałem się spowodować~~ i wniosłem do ministerstwa
reform rolnych podanie o przydział zeszłego ośrodka.
Tymczasem znalazłszy kupca na gdyńską
kolonję, pobrałem od ~~[illegible]~~ zaliczkę, z której
część przesłałem do Banku Rolnego tytułem zadatku
na przyznaną mi działkę w Karwinie, za pozostałą
zaś resztę w styczniu 1925 ~~wyprawiłem~~ córkę Marję na kuracje
do Zakopanego.

Podanie moje o przydział ośrodka zostało uwzględnione
i zaraz tj. przy końcu kwietnia 1925 r. przyjechałem
do Karwina, by natychmiast, mimo spóźnionej pory,
zająć się uprawą leżącej odłogiem ziemi.

Ośrodek ów – to pożałowania godna ruina. Sporą
przestrzeń zajmowały doły oraz rumowiska już to
po zburzonych już też po spalonych zabudowaniach
gospodarczych;F Doły musiałem zasypywać, wyrówny-
wać, rumowiska usuwać, mnóstwo pni (pozostałych) po wyję-
tych drzewach i krzakach karczować, inaczej bowiem
uprawa pługiem na przestrzeni tej byłaby nie do
pomyślenia. Ogród owóż duży, niestety, zaniedba-
ny, zdziczały, całkowicie zarosły nieużytecznymi
krzakami i odroślami; drzewa owocowe napół obu-
marłe, wypróchniałe – chore. – Były na ośrodku
tym dawniej stawy rybne, ale z powodu zupełnego
zaniedbania od szeregu lat zamieniły się w nieuży-
teczne mokradła. ~~Jeden staw wybrałem, groble wypa-
łem i zarybiłem. Renta czeka stosownej pory,~~
uporządkowanie bowiem tej działki wymaga dużo
żmudnej i kosztownej pracy. – Najgorzej wrażenie
przedstawiają się budynki – obraz zupełnej ruiny. –
W urzędowym ~~wykazie~~ objektów tegoż ośrodka widnieją
trzy studnie cembrowane, jedna z pompą; tymczasem
zamiast studzien zastałem trzy F doły, dzierżawca bowiem
wynosząc się, cembrowiny tych studzien sprzedał.

Na nowej tej posiadłości gospodarzyłem na razie
sam; rodzina została w Gdyni aż do uregulowania
stosunków, co wymagało więcej czasu.

F jak zwykle na wielkich folwarkach.

F bezużyteczne

Wkładka str. 71.

Na tem miejscu wypada wspomnieć bodaj pokrótce o dalszych losach szkoły gdenzyńskiej; bo ciekawe.

Skoro z powodu choroby Zosi stanowisko nauczyciela objął zastępczo Ignatowski, przysłał mu inspektor siłę pomocniczą w osobie niejakiego Nowaka, ~~którego nauczyciela~~ Nowy ten nauczyciel wcale nie długo ~~był~~ bawił w Gdenzynie, bowiem Maciej Stopyra postarał się u inspektora o przeniesienie Nowaka gdzieindziej, by miejsce dać ~~jego~~ swojej żonie. Po wyjeździe Zosi z Gdenzyna przeniesiono również Ignatowskiego, a miejsce po nim objął brat żony Stopyry, St. Sadowski. Ale Maciej Stopyra, znać dbały nietylko o szerzenie oświaty szkolnej ale i o zdrowie ~~nowych~~ nowego nauczycielstwa gdenzyńskiego, „wypolitykował" dla tejże szkoły jeszcze trzecią siłę, tą razą kierowniczą, dla siebie ~~w osobie własnej~~!

Tak mając gwarancję pewnego oparcia, zabrał się pan Maciej energicznie do starania budynku na powiększenie szkoły. Na własnym placu i z własnego materjału postawił ten budynek ~~w przeciągu po~~ z prawdziwie amerykańskim pośpiechem w ciągu kilku tygodni. Pensja nauczycielska dobra, bo dobra, ale i czynsz z budynku też nie zły. Ot, nie ma to, jak praca dla pospolitego dobra — z widokiem osobistych zysków i szerokiej płacy protekcji!

W maju przyjechała do mnie Żonia - na stałe. Mąż jej, któremu ona oddała najlepszą cząstkę swej duszy, pracując z poświęceniem mimo dolegającej jej niemocy nad pogłębieniem jego edukacji, w stosunkowo krótkim czasie okazał się osobnikiem o duszy skarłowaciałej. Bo nietylko że odmówił jej środków na dalsze leczenie, ale nawet na zwykłe utrzymanie, narażając ją nadto postępowaniem swem na rozstrój nerwów i chorobę serca.

Wkrótce po przybyciu Żoni przyjechała z Zakopanego Marynia z dodatniem polepszeniem zdrowia; a kiedy nieco później przyjechała także na stałe żona, wyprawiłem Żonię za poradą lekarzy do Szczawnicy, gdzie do późnej jesieni przebywała. Szczawna

W drugiej połowie stycznia ~~1925~~ 1926 na zaproszenie Ks. Janiszewskiego wybrałem się do niego do Grabowa. Przyjął mnie i ugościł nadzwyczaj serdecznie, starając się mi we wszystkiem dogadzać; baczył nawet, by mi nie brakło papierosów, bez których ja obejść się nie umiem, a których on jako abstynent nie tylko nie pali, ale nawet nałóg ten zasadniczo potępia...

Mimo srodka zimy, panowało wówczas prawdziwe wiosenne ciepło. Zamierzył więc mój czcigodny gospodarz wycieczkę do Poznania, chciał bowiem bym - jako pierwszy raz na wielkopolską ziemię przybyły - z wycieczki tej odniósł większą duchową korzyść. Z Poznania mieliśmy się udać do Gniezna, a stąd w stronę, gdzie

Lśni siną taflą Gopła krynica,
A nad nią jedno z najstarszych miast
Pierwotnych Polan: sławna Kruświca,
Kędy nam przodków, kołodziej Piast,
Gościł w swych progach onyś anioły, -

lecz z powodu nieprzewidzianych przeszkód, w Kruświcy nie mogliśmy być.

Zaraz po przyjeździe do Poznania zawiódł mię Ksiądz Józef do swego brata lekarza dr. Stanisława Janiszewskiego. Tu, mimo że byłem zupełnie obcy, przyjęty zostałem i ugoszczony prawdziwie po staropolsku. Przenocowawszy u państwa Dr. Stanisławostwa, nazajutrz

dnia następnego pojechaliśmy koleją do Gniezna.

Niewysłowionego doznałem uczucia oparłszy pierwszy raz w życiu stopę w tej kolebce polskiego narodu. Wszak Gniezno, Kruświca i Kraków to miasta, które pierwsze przed innemi polskiemi miastami uczyłem się jako siedmioletni uczniak nazywać i pamiętać. – Pierwsze kroki skierowaliśmy ku Katedrze, – ale z powodu dokonanej w niej niedawno kradzieży zastaliśmy zamkniętą. Więc to tu, na tej górze, ów przedhistoryczny Lech znalazłszy gniazdo białych orląt, rzekł do towarzyszy: „Gniezdźmy się tu" i założył około 550 roku osadę, nazwawszy ją Gnieznem. Tu – jak podają stare kroniki – stała dawniej świątynia pogańska bogini Nii, a Mieczysław I. po przyjęciu chrztu św. w roku 965 wystawił na miejscu tem Kościół Katedralny. Tu pochowano zwłoki Dąbrówki. W tej Katedrze spoczywa ciało św. Wojciecha. Tu, do grobu tegoż apostoła, roku 1000 pielgrzymował cesarz niemiecki Otto III, a tak był przyjęciem i bogactwem Bolesława Chrobrego olśniony, że włożył mu na głowę koronę.

Cała nasza przeszłość dziejowa jak żywa stanęła przed wyobraźnią, gdy w skupieniu ducha poglądałem na te czcigodne mury okazałej świątyni, a uczucia te potęgowało przeświadczenie, że nareszcie po półtorawiekowej niewoli oddycha zjednoczona już Polska swobodą.

~~Wyjechawszy z Gniezna w powrotną drogę do Poznania~~, Wysiedliśmy na stacji Gądki, skąd autem pojechaliśmy do Kórnika. Tu zwiedziliśmy ów wspaniały zamek, przekazany wraz z przyległemi ~~dobrami~~ przez ostatniego właściciela, Władysława Zamojskiego, na własność Rzeczypospolitej Polskiej.

Jest to godna zwiedzenia osobliwość. Sam zamek, zbudowany podobno XV wieku, przebudowany w ubiegłem stuleciu, otoczony dokoła głęboką, wodą napełnioną fosą, sprawiałby wrażenie dawnej twierdzy, gdyby nie jego lekka, wytworna struktura. Do zamku przylega śliczny i duży, jakkolwiek niezbyt starannie

przenieść na str. 74

utrzymany park. Tuż obok zamku i parku, ścisłą zaledwie oddzielona, srebrzy się gładka tafla podłużnego jeziora, w którego wodach przeciwnego brzegu przegląda się lasek. Widok naprawdę czarujący.

W zamku mieści się bogate muzeum i spora bibljoteka, zawierająca cenne rękopisy i stare druki. Ale na dokładne ~~obejrzenie~~ wszystkich ~~tych zaprawiałem~~ zbiorów zbyt krótki mieliśmy czas; z prawdziwym żalem musieliśmy spieszyć na kolej.

Wieczorem byliśmy z powrotem w Poznaniu i przenocowawszy u państwa dr Janiszewskich, na drugi dzień wyszliśmy na zwiedzenie osobliwości nieznanego mi miasta. Książę Józef był w roli cicerona. Ale któżby tam w tak krótkim czasie wszystko objrzał! Ledwie katedrę mogłem się bliżej i dłużej przypatrzeć.

W katedrze najbardziej podobała mi się kaplica, zwana Królewską, w której znajdują się grobowce z prochami Mieczysława Pierwszego i Bolesława Chrobrego oraz bronzowe pomniki tych Królów – rzecz chyba najpiękniejsza w całej katedrze. ~~Tle~~ Jaką ~~siłę~~ powagę ~~a siłę~~ w te bronzy zaklął artysta! Mieczysław pokazuje dzieciom krzyż na znak, że to za jego panowania naród polski przyjął chrześcijaństwo. Bolesław, cały w zbroję zakuty, o rysach twarzy znamionujących niezłomną wolę, lewą ręką wsparty ~~[illegible]~~ o bok, ~~[illegible]~~ prawą oparty ~~trzyma~~ na mieczu ~~[illegible]~~ a dostojności ~~a dostojności~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~. Co za siła przebija z całej tej bronzowej postaci! Patrzałbyś, człeku, na pomniki te i patrzał i nie mógłbyś się dosyć napatrzeć!

Inne osobliwości, które pragnęliśmy zwiedzić, a między niemi Bibljotekę Raczyńskich, Ratusz, Zamek wilhelmowski – zastaliśmy zamknięte, do następnego zaś dnia ze względu na obowiązki kapłańskie ks. Janiszewskiego, który nie był zastępiony, czekać nie mogliśmy. Monstrualna to budowa ten zamek Wilhelma. Zewnętrzna struktura jego jakaś ciężka, przygniatająca. Ale dobrze, że kolosa tego Wilhelm zbudował. Przydał się – już nie jemu, lecz nam.

Prócz kilku kościołów zwiedziliśmy bliżej wystawę obrazów,[F] i ogród zoologiczny – jedyny w Polsce okazały i ~~pod~~ każdym względem ciekawy zwierzyniec, ale też na ~~pod względem~~ punkcie ładu i porządku niejedno pozostawiający do życzenia.

pominąć na str. 74

F oranżerję w ogrodzie botanicznym

Korzystając z uprzejmego towarzyszenia mi wszędzie Ks. Janiszewskiego odwiedziłem w Poznaniu dawnych znajomych z Krakowa, pp. Grudzińskich jakoteż córkę ich Helenę, obecnie zam. Wilczakową, koleżankę Zosi ze szkolnej ławy i późniejszą współpracowniczkę w stryżewickiej szkole. – Przy sposobności poznałem w Poznaniu – również dzięki Ks. Janiszewskiemu – ogromnie popularnego wśród czytelników „Przewodnika Katolickiego" – Janka Obleśnięta – ~~w jego własnej~~ osobie ks. prałata Józefa Kłosa, który tak prześlicznie, zajmująco a naukowo ~~opisywał~~ w nerwowej gawędzie swe wrażenia z podróży do Rzymu.

W trzecim dniu wycieczki, podziękowawszy Zacnym Ks. Janiszewskim za gościnne przyjęcie, pokrzepiony na duchu doznanemi tu wrażeniami, wyruszyłem z Księdzem Józefem w powrotną drogę.

str. 72, 73

(pisać ze strony 72-73)

W Grębaninie kościółek drewniany, zbudowany . . . . wieku, jeden z tych dawnych kościołów, jakie już coraz rzadziej spotykamy, otoczony wieńcem starych lip, schludnie utrzymany, dostatnie czysty wewnątrz. Tuż przy kościółku nowa murowana plebanja, powstała w roku . . . dzięki staraniom Ks. Janiszewskiego. Starą drewnianą plebanję przeistoczył ten niestrudzony, dbający o oświatę swych parafjan proboszcz, na dom ludowy, w którym odbywają się zebrania, odczyty i przedstawienia amatorskie, – nieco zaś od plebanji na ~~wod~~ wysepce w samym środku rzybionej sadzawki wzniósł pomnik ku pamięci . . . . poległych podczas wielkiej wojny młodych Grębaninianów. Czytelnictwo ludowe w parafji grębanińskiej ładnie się rozwija. Czasopism rozmaitej treści prenumerują włościanie grębaniaczy w ilości . . . . . . egzemplarzy.

Budynek szkolny w tejże wsi, jak wogóle większości szkół w b. pruskim zaborze, również godny jest uwagi. Sale przestronne, suche i jasne z dużą ilością sporych okien, z specjalnymi wentylatorami do przewietrzania, w porównaniu do szkół po wsiach w reszcie Polski, szczególnie w byłym rosyjskim zaborze, gdzie po

dziś większości szkół mieści się w obskurnych, urąga-
jących najprymitywniejszym wymogom hygieny norach,
śmiało nazwać można ostatnim wyrazem postępu
w tej dziedzinie.

Kierownik tejże szkoły, Jan Wolanin, pochodzący z po-
wiatu niżańskiego w Małopolsce, bardzo zadowolony ze
swej posady, opowiadał mi, że nauczyciele ludowi
na wielkopolskiej ziemi dożywają późnego wieku.
Wierzę zupełnie, a nawet przekonany jestem, że dziatwa
wychodzi z takiej szkoły z większym zasobem wiedzy i z większą
elastycznością członków, skoro na czyściutko utrzymanym
placu szkolnym znajdują się urządzenia do gimnastyki.
Biedne natomiast nauczycielstwo w b. Kongresówce, zmu-
szone przebywać w ciasnych, zatęchłych, wilgotnych,
zimnych i pełnych kurzu lokalach, już w młodych
latach traci zdrowie i często gęsto mre na suchoty.

Do podniesienia gospodarstw i dobrobytu włościan
wielkopolskich przyczyniają się niemało starannie
utrzymane, bite drogi. Po takiej gładkiej drodze jedna
para średnich koni bez wysiłku ciągnie do odległego
miasta dwa, wzdłuż z sobą zczepione, worami zboża
wyładowane wozy. Gdy przeciwnie w najurodzajniejszych
ziemiach Polski, jak w Hrubieszowszczyźnie i w ziemi
Proszowskiej, będącej głównym spichrzem Krakowa, stan
dróg szczególnie podczas wilgotnych pór roku jest tak
przeraźliwie okropny, iż częstokroć dwie pary tęgich
koni ledwie podołają uciągnąć pusty wóz. To też
nieraz na drogach takich można się spotkać z odra-
żającym widokiem rozrywania przez psy ścierwa padłych
z przemęczenia koni. Stołeczne towarzystwa ~~ochrony~~ opieki nad
zwierzętami powinnyby w takich punktach naszego
kraju pozakładać ~~swe~~ filje, a pole działania
miałyby rozległe i wdzięczne...

Obdarowanego książkami, rankiem 3 lutego odwiózł
mię ks. Janiszewski do Kępna, a stąd pieszo odpro-
wadził do stosunkowo odległej od miasta stacji ko-
lejowej, gdzie prawie ze łzami pożegnawszy zacnego
Kapłana i podziękowawszy mu za tyle okazanej mi
serdecznej przyjaźni, wsiadłem do wagonu z pragnie-
niem jak najszybszego stanięcia w domu przy
chorej i pewnie z utęsknieniem wyglądającej mego
powrotu Zosi, by się z nią podzielić doznanemi
wrażeniami.

Po powrocie do Karwina zauważyłem, że tryskające nieco dalej od domu ocembrowane źródło – przeczysta, ożywcza krynica, – było szkaradnie zmącone, przyziemna zaś betonowa cembrowina, nazewnątrz i wewnątrz ~~rozpryskującem już~~ błotem ochlapana, ~~źle ustawiona~~ nierówno na spodnim betonie stojąca, wskazywała, że ktoś musiał ją ruszać. Na wyjaśnienie tej ~~złośliwej~~ zagadki ~~psoty~~ nie długo czekałem. Oto kilka ~~przemyślnych~~ pomysłowych karwiniaków, wykorzystując moją nieobecność, przyszło tu pewnej nocy i, usunąwszy wierzchni beton, pompując ~~wodę~~ ciągle tryskające źródło i kopiąc i babrząc się ~~błotem~~ w błocie, poszukiwało w ~~jego~~ głębiach źródła ukrytych skarbów... Ale, niestety, mimo tak żmudnej i niezbyt przyjemnej pracy, odeszli od źródła z tem samem bogactwem, z jakiem byli przyszli.

~~Patrząc na skażoną krynicę, oddałem~~

Na krótko przed tym wypadkiem, nakładem dużym kosztów i żmudnej pracy ukończyłem wybieranie zaniedbanego i od szeregu lat nieużytecznego stawu. To też patrząc na zbrukaną krynicę oddałem się żałosnemu dumaniu: „Szkoda, iż psychicznej strony ludzi tych wcześniej nie poznałem. Pewno, rzekomo w namule stawu znalezionemi dawnemi monetami byłbym ich ściągnął do roboty, do której zawczas wielką mieli odrazę... Byliby mi w te pędy nietylko galanto i ~~tanim~~ małym kosztem staw cały oczyścili, ale nawet i przyległe bagno osuszyli".

Przyjaciel mój Bartłomiej Broda, dobiegając już pięćdziesiątki przyszedł do wniosku, że „nie dobrze być człowiekowi samemu" i postanowił się ożenić. Zaprosił nas więc do Krakowa na dzień 18 kwietnia 1926, jako dzień jego ślubu. – Żal mi było opuszczać chorą żonę, której bez mego towarzystwa ~~tu~~ zawsze się przykrzyło, ale skoro sama jęła mnie namawiać bym jechał i ~~przykrości~~ zawodu poczciwemu Bartłomiejowi nie robił, zdecydowałem się jechać z wyplanowanym zamiarem, że po uroczystości ślubnej pojadę prosto do Gdyni w sprawie ostatecznego załatwienia tam swych interesów.

Wieczorem następnego dnia po Bartłomiejowem

weselu — które ograniczyło się do skromnej uczty przy udziale szczupłego grona najbliższych przyjaciół, bez muzyki i tańców, — wyjechałem do Gdeszyna.

Podróż (koleją) z Krakowa ku Hrubieszowu nietyle z powodu dalekiej drogi ile z braku dogodnego połączenia trwa zbyt długo i jest nużąca. Ledwie po męczącej tej drodze ~~wytchnąłem~~ cokolwiek wypocząłem, doręczono mi depeszę z ~~w~~ wezwaniem natychmiastowego powrotu do domu z powodu pogorszenia stanu zdrowia Zosi. Wyjechałem więc najbliższym wieczornym pociągiem. Do domu dostałem (w sobotę) się 24 kwietnia o godzinie 11 wieczór. Wróciłem zapóźno... Powitalny pocałunek złożyłem już na zimnem czole Zosi... Już mię nie powitała słodkim uśmiechem kochających swych oczu, zamknąwszy je wiecznie w sześć godzin przed moim powrotem. Przeżyła lat 28.

Niestety, nie nakreśliła mi ostatnich słów pożegnania. Snać brakło jej siły. W ostatnich chwilach wzdychała wobec czuwającej przy niej matki „by tatuś choć na pogrzeb zdołał przyjechać"... W przeddzień śmierci był u niej lekarz z Bronowic; jemu to, nie mogąc mówić, pismem śmiałem i czytelnem nakreśliła następujące słowa: „brak zupełny siły - ucisk pod serce wielki, jeść ni pić nie mogę".

Słabo w niej tląca iskra życia, po moim ~~z domu~~ wyjeździe szybko gasnąć poczęła. Uprzytomniła sobie, biedna, miejsce, do którego pojechałem; miejsce, gdzie w szczytnej pracy światłodawczej całą swą gorącą duszę włożyła; miejsce, z którem ją tyle drogich sercu wspomnień wiązało; miejsce wreszcie, gdzie okrutnego zawodu doznała. Tych, odtworzonych w pamięci obrazów niedalekiej przeszłości, nie zniosło utęsknione serce i, kiedy pod ożywczemi promieniami wiosennego słońca przyroda radością życia zadrgała, serce to zamarło.

„Wiosenny powiew, co kwiatów na łące
Zbudził kielichy,
Usta jej zimne, powabne, milczące
Całował cichy.
Leciuchnem dźwiękiem przejmował rostony
Czarnej sukienki

I pęk róż dzikich i wianek zielony
W głowach trumienki...

. . . .

„Ach, ona była jak tęcza, co ziemię
Jednoczy z niebem...
Była skowronkiem dla wioski, co drzemie,
Dla ducha — chlebem...
I była rosą, co cucił o świcie
Zioła mdlejące...
Była gwiazdeczką, co czuwa w błękicie
Nim wzejdzie słońce”.

Tem ona była, według powyższych słów poetki ludu, ~~czem~~ dla wioski, gdzie żyła i pracowała, czem zaś była dla ojca, wyrazić nie potrafię, a wyżalić (się) nie mam ~~się~~ już komu.

Po stracie Zosi smutek przygniatający zapanował w domu. W pracy fizycznej w polu i ogrodzie szukałem ukojenia, a także od czasu do czasu przedsiębrałem wycieczki do Krakowa, by bodaj chwilowo ~~[illegible]~~ zapomnieć dręczącej boleśnie serce straty.

A do Krakowa mam stosunkowo nie daleko. Z oddalonej 4 km. Posądzy kursującem codziennie między Proszowicami a Krakowem autem dojeżdża się do podwawelskiego grodu w ciągu godziny. Można również „wąskotorówką” jechać z Posądzy do Kocmyrzowa, skąd już koleją normalną do Krakowa. — Koleją jechać wygodniej, auto bowiem bywa zazwyczaj przepełnione, — ale jazda pociągami trwa godzinę dłużej; na krótkiej bowiem dwudziestokilometrowej przestrzeni między Kocmyrzowem a dworcem głównym w Krakowie zatrzymuje się pociąg na stacjach (wyłączając obie wymienione stacje) sześć razy (Prusy, Grębałów, Bieńczyce, Czyżyny, Dąbie, Grzegórzki).

Przy końcu września odwiedził nas w Karwinie miły i upragniony gość — ksiądz Janiszewski. Niestety, w tymże czasie na wąskotorówce był zastój w ruchu z powodu prostowania linji tejże kolejki, którą od Posądzy na Proszowice przedłużono do Pińczowa. Koni na stację

nie wysłałem, nie będąc o przyjeździe drogiego gościa uprzedzonym, — musiał więc spory kawał drogi od Koczmyrzowa przebyć pieszo. Ale mimo że się w błocie — na szczęście jeszcze nie wielkiem — trochę uchlapał, no i „Kapuśniaczek" nieco go zmoczył, stanął w moich progach radośnie uśmiechnięty. ~~Ale~~ Bo też, mimo poważnego już wieku, jest to ksiądz w trudach fizycznych zahartowany i dłuższe piesze wycieczki dla niego nie nowina.

Wkrótce po odwiedzinach ks. Janiszewskiego wybrałem się do stron rodzinnych, w Tarnobrzeskie, gdzie odwiedziłem kilku starszych znajomych ~~i krewnych~~. Tu zaobserwowałem rzecz, mianowicie na gruntach dworskich plantacje cukrowych buraków, któremi zasilano cukrownię w Częstocicach, za dawnym kordonem. Mogli się więc ziemianie przekonać, że produkcja cukrowego buraka opłaca się i że cukrownia w stronach tych miałaby rację bytu i ~~zastępy~~ rzesze ~~miejscowej~~ okolicznej ludności znalazłyby zajęcie ~~pracę~~ w miejscu i niebyłyby zmuszone tułać się w poszukiwaniu pracy do stron obcych; — a tylko wygodnictwo odstraszało ich od zakładania tak pożądanych dla ogólnego dobra fabryk, miejsce których zajęły niepomiernie mnogie w tych stronach gorzelnie. Do kopania buraków schodzili się ludzie nawet z odległych wsi, jak Stale, gdzie ziemie są piaszczyste, — kopiąc, czyszcząc i przykrywając kopki oczyszczonych buraków za samą tylko nać — a więc niemal za darmo.

W Nadbrzeziu, tuż pod Sandomierzem, przy głównym trakcie, ładna przestrzeń gruntu z klucza dzikowskiego w pobliżu stacji kolejowej została drobnemi działkami rozsprzedana. Ziemi tej wszakże nie kupili najbardziej potrzebujący, lecz nabyli ją ludzie ~~do~~ majątkowo dobrze sytuowani, a między nimi sporo kolejarzy, cena bowiem gruntu wynosiła 600 dolarów za morgę.

Tą wysoką cenę ziemi tłómaczyć chyba należy ~~fakt~~ fakt danej mi w roku 1919 przez hr. Tarnowskiego odmowy na wystosowaną do niego prośbę sprzedania mi w tej właśnie stronie działki ziemi. —

W Dzikowie odwiedziłem Jana Słowikę i Michała Marczaka. Są to szczególnie przyciągający ludzie. Mimo wiedzy, jaką zdobyli w najwyższych uczelniach, a która pozwoliła im zająć poczesne stanowiska społeczne, i mimo że żony ich, również zdobywszy uniwersyteckie wykształcenie, uczą w szkołach średnich, — przyznają się śmiało do swego chłopskiego pochodzenia. Ojciec Jana Słowiki, również Jan, b. długoletni wójt dzikowski, autor sławnych

„Pamiętników włościanina“, dziś już (r. 1928) 85 lat liczący ale jeszcze dość czerstwy staruszek, jest przez syna-profesora jak również przez resztę dzieci czcią najwyższą otaczany. Taką samą czcią otacza profesor Marczak matkę swoją, niezwykle krzepką 88 letnią góralkę. Tak ojciec Słomka jakoteż matka Marczakowa noszą się zawsze z wiejska.

Cudowna to zaiste rzecz oglądać w dzisiejszych zepsutych, zmaterjalizowanych czasach sędziwych, prostych wieśniaków w otoczeniu świetnie ubranych dzieci i wnuków.

A znam wielu podrzędnych urzędniczyn i dorobkiewiczów, co to zapomniawszy ciężkiej pracy na roli i przywdziawszy modne, miejskie ubranie, wstydzą się swego chłopskiego pochodzenia i unikają publicznego zetknięcia z własnymi rodzicami.

Ale tacy właśnie „panowie“ czy „panie“ tego rodzaju postępowaniem wystawiają jak najgorsze świadectwo swej duchowej wartości. Sławny nasz poeta podhalański Władysław Orkan, obchodząc w roku 1927 uroczysty jubileusz swej pracy piśmienniczej, w chwili składania mu przez najwyższe sfery literackie i liczne delegacje życzeń miał przy boku swym matkę swoją w zwykłym wieśniaczym ubiorze, a ukazując ją zgromadzonym wyznał w pokorze, że zasługę, sławę i cześć, jaką dziś odbiera, ma po Bogu tej wieśniaczce do zawdzięczenia.

Najmłodsza córka Marja, dawniej wesoła i żywa dziewczyna, po śmierci Zosi popadła w melancholję i smutek. Pytana, czy jej co nie dolega, odpowiadała zawsze, że jest zdrową. Ale już w styczniu 1927 r. nie mogło ujść mojej uwagi, że choroba, na którą w Zakopanem już się była leczyła, a z której nie zupełnie wyszła, poczyna się u niej na nowo objawiać. Środków na kontoważne leczenie nie mogłem odrazu zdobyć i dopiero w początku kwietnia wyprawiłem ją do Zakopanego.

Ale Zakopane już jej nie służyło i siły coraz bardziej traciła, wobec czego w połowie czerwca przywiozłem ją w ciężkim stanie zdrowia nazad do domu. Odtąd reszta sił szybko w niej zanikała i nikomu w domu tajnem już nie było, że dni jej są policzone. Utrudzony na ciernistej ścieżce żywota, w dodatku trapiony zadawnioną chorobą nerek, która już obecnie cięższej pracować mi nie dozwala, prosiłem w cichości Boga, by ta najmłodsza pociecha mnie przeżyła. Nie przyjął Bóg snać gorącej prośby mojej.

Na krótko przed śmiercią ~~oznajmi~~ wyraziła się do matki, że nie boi się umrzeć, a tylko bardzo jej żal, iż musi nas opuścić, przyczem prosiła, by ją pochować obok Zosi. Raz tylko poskarżyła się, że nie zaznawszy w życiu szczęścia i będąc ~~tak~~ jeszcze tak młodą, już musi umierać...

Dziwić się trzeba heroizmowi, ~~tej dzieciny~~ z jakim to dziecię znosiło swoje cierpienia oraz spokojowi, z jakim oczekiwało ostatniej godziny. Matkę, ~~kiedy~~ gdy ~~tylko~~ [illegible] do jej łoża się zbliżyła, zawsze obmacywała, chcąc się przekonać, czy nie zaniedbała wziąć na bieliznę ciepłego okrycia, przyczem zauważone braki należało uzupełnić. Sama bowiem nabawiwszy się choroby częściowo ~~głównie~~ z powodu zaziębienia, poczytywała sobie za święty obowiązek baczyć, by najbliższe jej sercu osoby podobnego losu uniknęły. Również siostrę Julję upominała, by się szanowała i zaziębienia unikała.

Była chwila, że mimo całego wysiłku woli, nie mogłem wybuchu żałości opanować i ~~rzuci~~ upadłszy na pierś drogiej tej istoty, bólem obłąkany wołałem żeby nie umierała... Wtedy ona przygarnąwszy mnie wychudłemi ramionami do piersi swej, rozpłakała się ~~[illegible]~~ również, a gdy po dłuższej chwili z objęć mię wypuściła, rozkładając bezsilnie ramiona odpowiedziała z beznadziejnym smutkiem: „muszę, umrzeć muszę"...

W ostatnich chwilach, gdy czuwałem przy jej łożu, a brat na boku popłakiwał, zwróciwszy na mnie gasnące oczy poruszyła wargami: „mama". Przywołałem z przyległej izby matkę, a skoro przed nią stanęła, umierająca cicho wyszeptała: „Już koniec"

i, otworzywszy dłoń na przyjęcie zapalonej gromnicy, do ostatniego momentu przytomna, w dniu 28 października 1927 r. przed godziną ósmą rano (w dwudziestej wiośnie życia) przymknęła na zawsze dobre swe oczy, z których po bladej skroni spłynęła ostatnia przeczysta łza pożegnalna, łza nigdy nie zapomniana.

. . . .

Choć cienie mogił objęły was srogie,
Jak mi się zdaje u schyłku mych lat,
Że was oglądam, córki moje drogie,
Skoro podniosę ducha w inny świat;
Że, spływające na skrzydłach z obłoku,
Towarzyszycie mi na każdym kroku.

Żem duszę moją ustrzegł od zwątpienia,
Gdy mnie swą ręką srodze dotknął Bóg –
I żem potrafił znieść ciężko cierpienia,
Gdy mi ciernisty krwawił stopy głóg –
Wam to zawdzięczam, córki moje miłe,
Coście mi wielką wymodliły siłę.

I zdaje mi się, że czuję na sobie
Pieszczotnych waszych ramion słodki splot,
Jak było ongi, w niepowrotnej dobie,
I zdaje mi się, że górny wasz wzlot
Uniesie mię gdzieś w wymarzone światy,
Dokąd zna drogę tylko duch skrzydlaty.

Nieście mię, nieście, wdzięczne moje córy!
Z tego ogrójca też nieście mię wzwyż
Ku srebrnym gwiazdom, w pogodne lazury,
Gdzie Chrystusowy triumfuje Krzyż,
Gdzie za cierpienia na arenie świata
Ręka z ręki Stwórcy sowita zapłata.

Przeżyłem w życiu wiele grożących śmiercią, a w najlepszym razie ciężkiem kalectwem przygód, i z każdej takiej przygody ~~prawie cudem~~ cudownie cało wychodziłem. Snać Stwórca ~~chcąc mnie w późniejszych latach doświadczyć~~, roztoczył nademną opiekę, by tem cięży w późniejszych latach mię doświadczyć.

Przytoczę parę przykładów z lat dawniejszych.

W cukrowni zakrzówieckiej nocą przy elewatorze ogarniała mię nieprzezwyciężona senność, gdy zajęcie moje wymagało wielkiej czujności. Szukałem więc rozrywki, by senność z ócz spędzić. Podemną był rozległy dół z gładką kamienną posadzką, a służył na zsypywanie buraczarnianych śmieci, z których w dzień kobiety resztki buraków wybierały, same zaś śmiecie chłopaki szuflikami w drzwiach po schodach na górę a stąd na osobny śmietnik wynosiły. Były to jednoporęczowe prymitywne schody, jakich murarze przy budowie domów używają, t.j. do połączonych dwóch desek poprzybijane były poprzecznie w różnych odstępach dla oparcia stopy ~~poprzeczne~~ grubsze szpagi. Było to coś w rodzaju pół-schodów i pół-drabiny. Ponieważ było to w nocy z soboty na niedzielę, dół był oczyszczony, próżny.

Na poręczy tych to schodów rozpocząłem gimnastykę, siadając na nią i zjeżdżając w dół. Nabawiwszy się dosyć, zachciało mi się wkońcu „jechać" na poręczy, siedząc ~~na niej~~ i wcale się jej nie trzymając. Na nieszczęście nachylenie schodów było zbyt strome, to też zaledwie metr ujechałem, przechyliłem się wtył i ze znacznej wysokości głową runąłem w dół... Obserwujący moje figle robotnicy z buraczarni w ten moment porzucili szufle i pędem biegli ku mnie w przekonaniu, że podniosą ~~trupa~~ nieboszczyka... Ale ja tylko stęknąłem, nie odniósłszy poważniejszego szwanku. Bo trzebaż było cudu, że właśnie podemną leżała mało co większa od sporej baraniej czapki chłopskiej kupka śmieci, na której sam środek głową spadłem. Gdybym był spadł o pół piędzi w pobok owej kupki — byłbym niezawodnie czaszkę na nic sobie roztrzaskał. Potłukłem sobie tylko plecy, z głowy się na nie z impetem obalając. Podniesiono mnie i ułożono na słomie w ciepłej części fabryki, skąd rano przy pomocy kolegów przywlokłem się do domu.

Innym razem, pracując w kotłowni, bez koszuli w samem tylko spodniem okryciu wyszedłem za ścianę do maszyny, tzw. „pompki". Tam nieco ~~dalej~~ na boku zauważyłem dwóch grzejących się chłopaków. Skory do psich figlów

postanowiłem puścić w nich „dla prędszej rozgrzewki" strumień ciepłej wody. Ponieważ otwór osadzonego w ścianie rezerwoaru maszyny kranu nie był ku spodowi nachylony i przy otwarciu go woda tryskała w linji poziomej, zaopatrzono go więc w krótką, w kształcie rogu wygiętą rurkę, którą, jak wężem gumowym, można było ~~dowolnie~~ w boki kierować. Już ująłem za ową rurkę i skierowałem jej otwór w stronę chłopaków, już miałem kran otworzyć, kiedy spojrzawszy ku dołowi zobaczyłem leżący w pobliżu nóg połłokciowy, drewniany klocek. Dla większej więc wygody przysunąłem sobie ów pieniek i dopiero stanąwszy na nim, ~~w~~ jedną ręką ująłem za ~~skierowaną w stronę chłopaków~~ rurkę, a drugą otworzyłem kran... Wtem nagle zerwana rurka oderwała się i silny strumień, nie ciepłej wody jak mniemałem, lecz gorącej pary uderzył mię prosto w nagą piersi... Miałem na tyle przytomności i siły, że zamknąłem kran i, wstydząc się krzyczeć, umknąłem na swoje miejsce.

I tu doznałem nie tyle kary Bożej za niewczesne zbytki, ile cudownej opieki ~~[illegible]~~ jego. Boć gdybym nie był stanął na klocku, para z wysoko umieszczonego kranu byłaby mi buchnęła w samą twarz... A piersi poparzona została straszliwie. Bąble natychmiast wystąpiły; później za najlżejszem poruszeniem ciało formalnie ugotowane pękało, a po kilku tygodniach leczenia z rozstopiałej już piersi odpadały grube skorupy. Nawet po kilku latach od tego wypadku można było materję z poparzonej piersi wyciskać.

W latach późniejszych, terminując u szewca w Tarnobrzegu, pewnego lipcowego wczesnego wieczora poszedłem się kąpać do Wisły. Woda brzegiem na znaczną szerokość była w tem miejscu dość płytka, najwyżej do pasa sięgająca, to też amatorów kąpieli różnego wieku była dnia tego spora gromadka. O jakie 150 kroków w dół od kąpiących leżały na wodzie tratwy wielkiej ilości przygotowanego do spławu i czekającego przyboru wody drzewa. Zupełnie nieświadomy działań prądów Wisły, oddaliwszy się od gromadki szedłem za biegiem fal ku owym tratwom

z zamiarem dostania się na nie. Ale skoro już tylko dwumetrowa przestrzeń dzieliła mnie od tratew, nagle zapadłem w głębię do pach i jednocześnie grunt począł się mi z pod nóg usuwać, a tuż na metr przede mną wisząca toń uprzytomniła mi, nad jak straszną przepaścią się znajduję. Błyskawicznie zorjentowałem się w położeniu. Rzucić się naprzód i uczepić rękami brzegu tratwy – to przedsięwzięcie ryzykowne, bo albo wiry odrazu pod tratwę mię porwą, albo też mogę sobie głowę o bale rozbić i również pójść na spód. Krzyczeć o ~~ratunek~~ pomoc byłoby lekkomyślnością, boć tu każdy moment drogi i tylko od przytomności umysłu zawisł ratunek.

Już po szyję w wodzie zanurzony, oparty krawędziami stóp w poprzek prądu na usuwającym się mi gwałtownie z pod ~~stóp~~ nóg piaszczystym, stromo opadającym gruncie, z szybkością na jaką tylko zdobyć się mogłem podnosząc i stawiając pod prąd przed siebie naprzód przed nogi, centymetr po centymetrze bokiem pod fale się cofałem, a głuche to zmaganie się z potężnym żywiołem wydało mi się wiecznością. Nareszcie udało mi się wycofać na ~~dwu~~metrową odległość od zdradnej otchłani – i byłem uratowany.

Kiedyindziej w popołudniowej godzinie poszedłem znowu nad Wisłę pod tzw. „Wianek" w Tarnobrzegu, z zamiarem wprawiania się w pływaniu. Żywej duszy wokoło nie było. Nie dowierzając już nurtom rzeki, wszedłem do tzw. łachy, tamą od głównego łożyska Wisły oddzielonej, postanowiwszy ją wszerz od lądu do tamy wpław przebyć. Wiosłując rękami i pomagając sobie nogami utrzymać się na powierzchni wody, płynąłem wolno do przeciwległego brzegu. Na jakie półtora metra od tamy wyczerpany na siłach sądząc, że woda musi tu być już płytka, opuściłem się – i w tejże chwili zapadłem się w przepaść...

Ocknąłem się już na tamie. Co się ze mną działo, tego ani wówczas ani też później wytłómaczyć sobie nie umiałem, ani też nie pamiętałem, bym czynił wysiłek ratowania się z topieli. Jakimże cudem – bo inaczej wypadku tego określić nie potrafię – z topieli na środek tamy wyrzucony zostałem? Fale mię nie wyrzuciły, bo powierzchnia wody była cicha i jak zwierciadło

gładka; z ludzi też nikt ratować mię nie mógł, bo nikogo nie było. Więc cud oczywisty. Nie wiem również, jak długo znajdowałem się pod wodą, a musiałem tam być stosunkowo długo, bo nie mogąc przez dłuższy czas tchu złapać, doznawałem uczucia, że płuca mi pękają, że duszę się. Kto osobiście podczas tonięcia nadmiaru wody w siebie nie nabrał, nigdy nie pojmie, co to za męka nie móc złapać tchu!

Wypadek następujący miał miejsce również w latach mego terminowania u szewca. W grudniowy wieczór wyruszyłem z Tarnobrzega do Wrzaw, gdzie rodzice moi podówczas mieszkali. Mimo zimy, pola nie były śniegiem przykryte. Kiedy zboczyłem na drogę z Nadbrzezia przez Trześń na Gorzyce prowadzącą, na świecie zaległa już była zupełna ciemność, a śnieg padać począł grubemi płatkami, które wiatr wschodni w twarz mi miotał. Droga bokami pełna była grudy, na której nie chcąc się w ciemności potykać i chodu sobie utrudniać, szedłem gładkim środkiem gościńca, spuściwszy głowę, by twarzy i oczu na ~~na~~ miotający śniegiem wicher nie wystawiać. Widziałem więc ledwie się rysującą przed nogami smugę drogi. Z natury trochę marzycielsko usposobiony, idąc naprzód oddałem się dumaniom, pod których wpływem zapomniałem, że środek drogi i to podczas nieprzeniknionych nocnych ciemności, nie jest dla mnie bezpieczny. Kiedy minąłem most na Trześniówce, nagle przed stopami memi mignęła w poprzek smuga jakiegoś nieuchwytnego, fosforycznego światełka. To mię zbudziło z zadumy i, obejrzawszy się instynktownie poza siebie, raptem uskoczyłem w bok, a w tejże samej chwili minęła mnie w pełnym biegu czterokonna furmanka, a za nią takaż druga... Furman w ciemności nie ~~mógł~~ dostrzegł mnie, a choćby nawet dostrzegł, nie mógłby rozpędzonych koni ze staczającym się po pochyłej drodze wozem zatrzymać – i gdyby nie owo cudowne a niepojęte światełko, pod kopytami ~~kopyt~~ koni i kołami wozów byłbym niechybnie zginął.

Takich i tym podobnych zdarzeń z życia mego mógłbym przytoczyć wiele, sądzę jednak, że parę tych przytoczonych przykładów wystarczy do wyrobienia sobie dostatecznego pojęcia, wśród jakich niebezpieczeństw Opatrzność krokami memi kierowała.

Chociaż życie biegło mi jak po grudzie, nie narzekałem, ~~na los~~, nie skarżyłem się na los, bo skarg i narzekań jałowych, jako nielicujących z godnością męską, nie lubię. Są atoli cierpienia, pod których działaniem najbardziej nawet zahartowana natura jęknąć musi. Darujcie więc czytelnicy chwilowej słabości człowieka ułomnego.

Za dwunastoletnią nieprzerwaną służbę podrzędnego urzędnika XI rangi w tarnobrzeskim wydziale powiatowym, należała mi się po przejściu w stan spoczynku z powodu silnie nadwerężonego zdrowia dożywotnia emerytura. Tej płacy spoczynkowej, którą wydział powiatowy wyznaczał mi w okresie inflancji marki polskiej, nie biorę nawet w rachubę, bowiem wartość tegoż pieniądza z tygodnia na tydzień malejącego ~~w kursie spadającego~~, spadła w końcu do zera.

Z chwilą puszczenia w obieg nowej waluty „złotego” wyznaczył mi wydział powiatowy na cały 1924 rok 60 złotych tj. po 5 zł. miesięcznie... Na skutek mych usilnych zabiegów, na następny 1925 rok emeryturę tę podwyższono mi do 180 zł. rocznie czyli 15 zł. na miesiąc, wreszcie skutkiem dalszych starań przyznano mi od 1 kwietnia 1927 r. 480 zł. rocznie czyli 40 zł. miesięcznie.

To niejednolite oznaczanie stopy należnej mi emerytury, samo z siebie acz nadto ~~wymownie~~ wiele mówi, ~~że mię odmienne czynniki kierowały się w tym względzie nie słusznością, lecz swoistem „widzi mi się”~~. Byli wprawdzie w wydziale członkowie ujmujący się za moją krzywdą, jak ks. Józef Kasprzycki, ale jako w mniejszości, przegłosowani zostali.

Cóż więc było powodem opozycji pewnych członków tarnobrzeskiego wydziału powiatowego przeciw przyznaniu najskromniejszej należącej mi się emerytury za nienaganną, sumienną dwunastoletnią służbę, za wszystkie obowiązki, co nadwyrężyły mi zdrowie, za pracę, którą szef kancelarji samowolnie

osobiście nie był mi przychylny, cenił wysoko?...

Różne opozycjoniści wynajdywali przyczyny i rozmaitej natury ~~przyczyny~~ zarzuty stawiali, jak naprzykład:

1) iżem w sile wieku z posady ustąpił;

2) jakobym (zarzut szefa Kancelarji) nie uiścił przypadających wkładek emerytalnych;

3) że sprzedałem moje osiedle w Dzikowie i t. p.

Na powyższe zarzuty postaram się krótko odpowiedzieć, a czytelnik zestawiwszy zarzut z wyjaśnieniem sam sobie sąd bezstronny wyrobi:

1) ~~stąd~~ do ustąpienia z posady zmusiła mię moja choroba, coraz ostrzej się ujawniająca, a która od ~~rok~~ lata 1919 roku aż do chwili gdy słowa niniejsze kreślę trapi mnie coraz uporczywiej i nawet już pracować mi nie dozwala;

3) twierdzenie to jest z gruntu błędne, wkładki bowiem emerytalne uiściłem w całości własnie do rąk szefa Kancelarji za cały okres służby z chwilą nadania mi dekretu stabilizacyjnego za wszystkie lata wstecz aż po dzień 1 czerwca 1908 r., następnie co miesiąc wkładki bieżące ~~aż~~ do końca służby) ~~za cały okres służby~~, co snadnie w Księgach Kasowych Wydziału sprawdzić można, - a jeśli pozycji tej trudno się doszukać, to już nie moja wina, nie ja bowiem Księgi Kasowe prowadziłem;

3) osiedle sprzedać musiałem, było bowiem nie~~prawdo~~podobieństwem utrzymanie rodziny z jednej morgi pola, ~~a zresztą~~ osiedlem tem, w które włożyłem cały mój ~~dorobek mojego życia~~ znojny dorobek, że wolno mi było jako niezaprzeczoną własnością dowolnie dysponować.

Kto zaś miałby jeszcze jakiekolwiek wątpliwości co do usprawiedliwienia mego kroku ~~od~~ ustąpienia z posady i wywędrowania z stron rodzinnych, odsyłam go do poniższego cyfrowego zestawienia z „najpomyślniejszego" roku mej służby w Wydziale, z normalnego 1913 roku, kiedyto miałem najwyższą płacę 100 Koron miesięcznie (w latach poprzednich płacę miałem niższą - po 60, 70 i 80 Koron miesięcznie).

Rodzina moja składała się z ośmiu osób tj. matki mojej, mnie, żony i pięciorga dzieci, ~~wszystkie w wieku szkolnym~~

Wydatki roczne wynosiły:

str. 89 54

A jest to jednak nie zupełny rachunek.
Gniotły mię jeszcze długi, jakie na dokończenie
budowy domu w r. 1912 zaciągnąć musiałem.
To też poinformowana o ciężkiem mojem
położeniu pewna wysoko postawiona osobistość
radziła mi życzliwie, bym „godził ~~rozchody~~ wydatki
z dochodami"...

str. 89.

~~Obówie dla 8 osób à 10 Koron . . . 80 K.~~
~~Ubranie " 8 " " 15 " . . . 80 "~~
~~Bielizna i pościel 8 " " 5 " . . . 20 "~~
~~Mydło, nici, wapno i inne konieczne drobiazgi . 20 "~~
~~Książki, zeszyty i inne przybory szkolne dla 5 dzieci . 60 "~~
~~Opał i światło . . . . 100 "~~
~~Asekuracja budynków, podatki, wkładki do towarzystw kulturalnych itd. . . . . 90 "~~
~~Wydatki na doroczne święta (godne i wielkanocne) à 20 K. . 40 "~~
~~Gazety . . . . 10 "~~
~~Zosie w seminarjum naucz. żeńsk. w Kołomyi . . . 300 "~~
~~Razem 800 zł.~~

Obówie (a raczej materjał na nie, bowiem obówie sam wieczorami robiłem:) dla 8 osób à 10 Koron	80 K.
Ubranie dla 8 osób à 10 K.	80 "
Bielizna i pościel dla 8 osób à 4 K.	32 "
Mydło, nici, wapno i inne konieczne drobiazgi . .	30 "
Książki, zeszyty, bloki i inne przybory szkolne dla 5 dzieci	60 "
Opał i światło	100 "
Asekuracja budynków, podatki, wkładki do towarzystw kulturalnych itd.	90 "
Wydatki na święta doroczne (B. Narodzenie i Wielkanoc) à 20 K. .	40 "
Gazety	10 "
Utrzymanie Zosi w seminarjum ~~żeńsk.~~ naucz. w Kołomyi . .	300 "
Razem	822 K.

Jak zatem świadczą powyższe suche cyfry, oszczędność moja dochodziła do ostatecznych granic, a mimo to na konieczne potrzeby życia pozostało zaledwie 378 ~~zł~~ Koron na cały rok, czyli niecałe 15 halerzy dziennie na osobę, a w większości wypadków po 10 hal. dziennie, boć czasem wypadło zapłacić doktora i aptekę, to znów pękł garnek, (pękła) miska, pękło szkło lampy, zużyło się coś niezbędnego w domowem gospodarstwie, zjawił się kwestarz, żebrak i t.d. i t.d., a wszystko to w sumie czyniło stosunkowo pokaźną kwotę. A prawda, miałem na szczęście krowę, ale też musiałbym do powyższych cyfr rozchodu ~~dodać my~~ wstawić pozycję wydatku na paszę; miałem ~~też~~ także morgę pola, ~~a [illegible]~~ ale też i wydatek na orkę i uprawę ~~wywóz obornika itd.~~ był znaczny. wstawka

Taki jest bilans mego bytowania w najpomyślniejszym roku. Co się zaś działo podczas wojny i zaraz po wojnie,

szkoda nawet wspominać, bo dzieje te większości rodaków dobrze są znane.

wkładka

Więc troje moich dzieci z ~~owrzodzeniami~~ (z objawami skłonności do) suchot zaprzestało chodzić do szkoły. Ja sam, nietylko fizycznie ale i duchowo wyczerpany, począłem się słaniać. Jakaż więc przyszłość nas czekała? Miałżem, chroniąc dzieci od śmierci głodowej, posyłać je jako najmitów na cudzą grzędę, to już lepiej, niechby pracowały na grzędzie własnej, której nie mogąc posiąść w stronie rodzinnej, poszukałem na Kresach. Lecz zapóźno, bo odtąd przez kilka lat z rzędu siliłem się ratować wyniszczone na zdrowiu dzieci, z wynikiem paroletniego przedłużenia im gasnącego życia i utratą znojnego długoletniego, skromnego dorobku.

A za to, żem strony rodzinne porzucił, a raczej przez zawistny los zostałem z nich wypędzony, wielu moralistów rzuciło na mnie kamieniem potępienia...

Takie są pobieżnie naszkicowane dzieje tej mojej odysei, na której zakończenie użyję zapożyczonych u Krasińskiego słów:

„Ach, żyłem, żyłem między wami długo,
Miotan rozpaczą bezdenną i dziecięcą,
I śmierć mi będzie tylko śmiercią drugą.
Jak Dant za życia przeszedłem przez piekło".

— o —

W tej właśnie chwili, gdy myśl w strony rodzinne mię unosi, przynoszą mi gazety hiobową wieść, że zamek dzikowski, piękna neogotycka rezydencja hr. Tarnowskich — płonie...

Ponieważ pałac ten znany jest w całej Polsce z nagromadzonych w nim bezcennych skarbów polskiej kultury, już choćby przez to wart jest wspomnienia.

Przebieg katastrofy (ogień wybuchł 21 grudnia 1927 r. o godzinie wpół do trzeciej nad ranem) ~~streszczam~~ z pomieszczonego w dziennikach opisu naocznego świadka, bibljotekarza nawiedzonej właśnie nieszczęściem pożaru dzikowskiej bibljoteki, Michała Marczaka.

„Niema już Dzikowa — pisze Marczak — tego zamku w centrum Polski, znanego całej Polsce i zagranicy z bezcennych zbiorów. Bo czego tu nie było! Wspaniała bibljoteka, posiadająca największą ilość

Mógłby mi kto zwrócić uwagę, że jednak wielu funkcjonarjuszów, pobierających taką samą a nawet i niższą pensję, jakoś żyją. Prawda, przyznaję. Lecz trzeba być nieskończenie naiwnym by sądzić, że owe głodomory egzystują wyłącznie z tejże pensji. Chcąc poznać rzeczywiste życie aktora, nie wystarczy samo obserwowanie występów jego na scenie, lecz trzeba zejść z wygodnej loży i zajrzeć także za kulisy.

W nawiedzonym katastrofą zamku mieściło się wiele cennych ~~skarbów~~ zbiorów narodowej kultury, w szczególności sławna bibljoteka Dzikowska. Ocalało, jak podają gazety, około 60 procent zbiorów. Niestety, podczas ratowania znalazło śmierć w ogniu 9 osób, a kilka odniosło ciężkie rany z poparzenia. Inni zaś, a wśród tych bibljotekarz ~~Michał~~ Marczak, ledwie z życiem uszli.

Dziwnym zbiegiem okoliczności hrabia w tym czasie – jak pisze „Czas" krakowski – bawił na kuracji w Berlinie; hrabina z synem na kuracji w Nicei, jeden z synów zachorował był w Krakowie, – a tylko matka właściciela spalonego pałacu, 88 letnia staruszka, pozostała w ~~była~~ w domu, z którego ją podczas ognia uratowano. Zawiadomieni drogą radjową ~~przez radjo~~ o klęsce, wszyscy na miejsce katastrofy wrócili.

druków polskich z XVI. w., niewszystkie cymelja, kilka-
dziesiąt polskich inkunabułów. Prawie 35.000 dzieł łącznie.
Dyplomy i pergaminy od r. 1305 włącznie. Akta ma-
jątkowe od drugiej połowy XVII w. po dzień dzisiejszy.
Najcenniejszy w Polsce zbiór minjatur z czasów Stanisława
Augusta i Księstwa Warszawskiego. Kilkaset cennych płócien,
mnóstwo pięknych pamiątek historycznych, dość wymie-
nić buławę, szablę i rząd na konia hetmana Tarnowskiego.

„Straty ogromne, ale jest pewna pociecha, że nie wszystko
przepadło. Uratowana większa część bibljoteki, w
każdym razie inkunabuły, sporo cymeljów. Płótna
wszystkie, jak również niektóre pamiątki. Artystyczne
przedmioty, jak śliczne marmury i alabastry z po-
czątku XIX w. z powodu dużego ciężaru i niedoświadczenia
ratujących przeważnie nie wyszły cało.

„Urządzenie zamku zniszczało niemal zupełnie. Po-
trącane meble, częstokroć trudne do naprawy, trudno
nazywać prawdziwie uratowanemi.

„Dziś niepodobna oznaczyć dokładnie strat. Ratowano
energicznie, z całem poświęceniem, uratowano, co w danych
warunkach było możliwe. Dowodem całego heroizmu
poświęcenia jest liczba ofiar w ludziach: 9 osób
straciło życie. Wśród nich znajduje się rzeczny, pilny
i szlachetny mój uczeń z VI kl. gimnazjalnej, Jaś
Mastalerczyk, bardzo zdolna uczennica tutejszego
seminarjum nauczycielskiego, Koczurówna, znany
w Polsce sportsmen Alfred Freyer szybkobiegacz;
ojciec i syn Gilowie stolarze wraz ze swymi dwoma
czeladnikami; murarz Pomykalski ojciec 6go drobnych
dzieci i paru innych. W szpitalu pozostają 3
osoby i jest nadzieja zachowania ich przy życiu.

„O godzinie 3 rano zbudziła mnie burząca straszna
wiadomość. Prawie momentalnie znalazłem się
na miejscu i nie tracąc chwili czasu zabrałem się
do ratowania bibljoteki, pomieszczonej w wielkiej piętrowej
sali, z szafami na książki biegnącemi wzdłuż
ścian do wysokości piętra. Gorączkowe otwieranie
trzech kondygnacyj szaf ośmiu kluczami, z których
każdy od innej szafy – wydobywanie zawartości i prośba
do nadbiegających, by zabierali i umieścili w bezpieczne
miejsce. Niestety, prości ludzie uważali za wskazane

ratować przedewszystkiem sprzęty, i meble, lampy i popielniczki. Na szczęście Pan Bóg nadesłał młodzież gimnazjalną, która zaraz skupiła się przy mnie i ile tylko unieść w rękach mogła wynosiła. Powstał jednak przy dwóch bocznych drzwiach zator z mebli i nadbiegających ludzi. Główne, najważniejsze drzwi objęte były sferą ognia, schody płonęły. Inkunabuły były zebrane w jednej szafie i te rozdałem młodzieży. Niestety na 20 wysokich szaf tylko jedna sosnowa drabinka!

„Gdy ta niebawem się złamała, najwyższą kondygnację szaf otwierano siłą rękoma, czepiając się po małpiemu framugi ścian i szaf. Pobiegłem do mej pracowni ratować katalogi przed rokiem szczęśliwie skończone. Dumny być mogłem ze swej 10 lat nad biblioteką trwającej pracy. Wydobywanie i składanie katalogów zleciłem młodzieży, sam zaś wróciłem do wielkiej sali, by skontrolować ratowanie druków. Szło wszystko sprawnie.

„Wtem światła elektryczne pogasły. Ciemność podziałała denerwująco na wszystkich. Mrok przebijały co chwilę spadające z dachów iskry oraz prześwietlający pod głównemi drzwiami płomień. Nie przestawano jednak pracy ani na chwilę. Wtem usłyszałem piekielny świst, ryk, jakiś djabelski chichot, równocześnie z okien wypadły wszystkie szyby, rozległ się trzask złamanego na pół sufitu. Trwało to wszystko chyba sekundę. Uczułem się pochwycony przez kogoś i siłą wyrzucony do sąsiedniego pokoju. Ktoś mi pomógł się podźwignąć i skierować się na boczne schody. Byli to dwaj moi uczniowie z gimnazjum, którzy mi uratowali życie. Na sali było obecnych około 18 osób. Z tych oprócz mnie i moich zbawców ludzi Kuchana zewnętrznego ocalało 6 czy 7 osób, reszta znalazła się w gruzach. Tragiczna była śmierć Gila młodszego. Belka przywaliła mu nogi. Wzywał ratunku. Kapitan Chwaściński próbował go wyciągnąć. Nie dało się, powinno się było obciąć nogi i resztę dla rodziny ocalić. Nie było siekiery. A chwila była ostateczna, bo spadały głownie płonące, węgle żarzące. Nieszczęsny prosił, żeby go losowi zostawić, a żywi niech ratują już tylko siebie. Starszy Gil otwierał właśnie najwyższą kondygnację, zawieszony w powietrzu...

„Takich chwil się w życiu nie zapomina. Zacny Mastelerzyk ogromnie inteligentnie wystawiał cenniejsze książki: osądzał po oprawach. Pewnie teraz sortuje bibljotekę niebieską.

„Katastrofa wielkiej sali oszczędziła młodzieży od Katalogów. Z powodu zatoru ludzi i mebli na wąskich i ciasnych schodach nie podobna mi już było wtargnąć do mej pracowni. Za 10 minut albo kwadrans runął sufit i w tym pokoju. Katalogi moje poszły z dymem. Patrzyłem na płonące moje dzieło... Prócz części bibljoteki udało się mi uratować szereg obrazów i pamiątki hetmańskie. Dziś wieczór przejrzałem ocaloną część bibljoteki i z radością stwierdziłem na oko, że dawnych druków ocalało więcej niż połowa, ale zato przepadło 8000 broszur starych i nowszych w paczkach spłonęły". –

Tak opisuje klęskę naoczny świadek, który przez szereg lat nad uporządkowaniem Dzikowskiej bibljoteki z zamiłowaniem pracował, by wkońcu patrzeć, jak pożar trawi jego pracę.

„Wiek zerwał me mamienia,
Zniknął urok błogich lat,
Ach, inne dziś wrażenia,
Gdy rzucę okiem w świat".

Skoro obecnie cofnę się myślą w ubiegłe lata młodości, coprawda „chmurnej" lecz i „górnej", przychodzi się mi na pamięć powyższa zwrotka z pieśni do Anioła Stróża, przez moich rodziców każdego dnia rano i wieczór w czasie mych pacholęcych lat śpiewanej.

I błogosławię pamięć w Bogu spoczywających rodziców za owe pieśni, co upoiwszy melodją swą moją jeszcze niewinną, młodocianą duszę, były dla niej w następnych latach tarczą, od której wszelkie zło odbijało się „jak piasek od pancerza".

I były jak ów nektar upojny, co orzeźwiając w straszliwem zmaganiu się z przeciwnościami życia

słaniające się ciało i mdlejącą duszę, podnieca siły do wytrwałego kroczenia mimo tysiącznych przeszkód naprzód ku wytkniętemu celowi.

Powiedział wieszcz:

„Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje,
Pieśń ujdzie cało".

I wielką prawdę powiedział. Z wszystkiego, co życie mi dało, pozostała tylko pieśń. Pieśń w duszy zaklęta.

I kiedy świat zamienił się dla mnie w grób milczenia, pieśń ta ciągle w duszy mi grała. Niemilknąca, niewyczerpana, tworzyła z siebie pieśni nowe.

Pieśni nieme, a jednak głośne, tak głośne, że potęgą dźwięku swego głuszyły zgrzyty złych mocy zwątpienia.

Szedłem więc naprzód wytrwale przez ciernie żywota, aż u schyłku lat moich wkroczyłem w Królestwo Smutku.

~~Ale i smutek, ubrany w togę pieśni, może być pięknym.~~

I widzę dziś świat inny, całkiem inny od świata ongi marzonego.

„Wiek zerwał me marzenia,
Zniknął urok błogich lat"...

A jeżeli nie załamałem bezradnie rąk, jeżeli z gestem niechęci nie odwróciłem się od dzisiejszego otoczenia, zasługa to pieśni. Pieśni przez rodziców w dniach dzieciństwa mego śpiewanej.

Co jak nić złota wiąże mię z przeszłością.

„Ach, inne dziś wrażenia,
Gdy rzucę okiem w świat".

Inne i niepociągające. Żyję tem, co minęło ~~ze mną~~ i tem, co ~~przede mną~~ mnie czeka.

Za ojcami starzy przyjaciele w grób się położyli.

I zginął bez śladu czasu wielkiej wojny najmłodszy mój brat, Władysław.

I umarł ~~na obczyźnie~~ w pięknym dniu majowym 1923 ~~roku~~ na obcej, sybirskiej ziemi młodszy brat Franciszek, a wieść o śmierci jego doszła mię po roku.

Zostałem ~~sam~~ jeden – najstarszy i ułomny.

Zostałem, bym patrzał na odchodzące w krainę wieczności w krótkich po sobie odstępach córki moje w najpiękniejszych wiosen rozkwicie. Nadzieję starości mojej: W świętem wypełnianiu czwartego przykazania wzory do naśladowania piękne.

Matki polskie! nad kołyskami dzieci waszych śpiewajcie wy pieśni. Śpiewajcie im przez cały czas pacholęctwa ich.

Ciało ich piersią waszą karmcie, a duszę ich pieśnią krzepcie. Pieśnią nieskażoną ojczystą.

A mocne i na wszystko zło odporne i na wszelakie niedole hartowne będą ich dusze.

I błogosławić pamięć waszą będą.

A u kresu życiowej wędrówki nie cienie ponure a światło w tęczowej otoczy widzieć przed sobą będą.

Więc śpiewajcie pieśni.

[redacted]

96.